

JACEK INDELAK

incydent w Biela-wach

„Zgodnie z zarządzeniem Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej z dnia 1.04.1954 r., nakładającym obowiązek zgłaszania wypadków ciężkich uszkodzeń ciała spowodowanych przez osoby trzecie, zawiadamiamy, że na Oddział Chirurgii Szczękowo-Twarzowej szpitala im. M. Skłodowskiej-Curie w Zgierzu został przyjęty chory Pietrzak Władysław, ur. 20.12.1942 r. (...) u którego stwierdzono uraz głowy i twarzy ze wstrząśnięciem mózgu, ranę ciętą głowy. Chory pobity przez funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej”.

Oświadczenie tej treści wysłane zostało do Prokuratury Wojewódzkiej w Skierniewicach.

Rozmawiamy z jego autorem — chirurgiem-stomatologiem, Zbigniewem Olszewskim:

— Władysław Pietrzak trafił do mnie na dyżur 27 listopada 1981 roku o godzinie 0.30. Pacjent podaje, że pobicie miało miejsce około godz. 18.00 poprzedniego dnia. Co u chorego jest? Rana cięta głowy. Rozległa rana cięta po prawej stronie, która musiała być zadana ostrym narzędziem. Rana ta została prawidłowo zaopatrzona przez pogotowie, które z podejrzeniem złamania żuchwy i kości jarzmowej przywiozło chorego na nasz oddział. Podejrzenia te radiologicznie wykluczyłem. Niemniej obrażenia chorego są ciężkie. Typowe objawy wstrząśnienia mózgu. Rozległe poważne stłuczenia całej twarzy. Głowę i twarz ma obrzękniętą. Całą lewą okolicę oczodołu ma obrzękniętą. Wylewy okularowe przechodzą też raz na prawą stronę, która więc też musiała być pod wpływem urazu. Świadczy wszystko o tym, że nie był to jeden cios, lecz seria połączonych uderzeń. Poszkodowany powiedział mi, że został pobity przez funkcjonariuszy MO, dlatego zawiadomiłem nie milicję, lecz prokuraturę. Czy ktoś się nim już interesował? Nie. Od pobicia upłynęły dwie doby, ale nikt go ani z milicji, ani z prokuratury jeszcze nie było. Była tylko żona chorego. Pyta pan czy na pewno był bity? Bez wątpienia, bo gdyby upadł, to miałby obrażenia tylko po tej stronie, na którą upadł. Był bity, rana cięta — po stronie prawej, a potężny wylew i obrzęk po stronie lewej. Każdy lekarz potwierdził, że ten człowiek został pobity. Jakże rokowanie? Jeśli proces leczenia będzie przebiegał prawidłowo, co najmniej dwutygodniowy pobyt w szpitalu, a potem przez długi czas regularna opieka poradni neurologicznej. W przypadku tak poważnych urazów twarzy i głowy niczego nie można z góry przesądzić.

S skierowanie do zgierskiego szpitala wystawił choremu dr Wojciech Maciejak — chirurg ze Szpitala Miejskiego w Łowiczu. Stwierdza on:

— Opatrzyłem ranę ciętą głowy. Rozległa rana, skóra głęboko odwarstwiona. Aby ją odbarzyć, zapobiec powstaniu krwiaka, musiałem przed zeszcieniem włożyć w ranę pasek gumowy, szerokości ok. 10 centymetrów. Pacjent był tak obity, że byłem prze-

Dalszy ciąg na str. 10

NR 50 (1253) ROK XXIV

13 GRUDNIA 1981 R.

CENA 7 ZŁ

Łódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny



Utrwalony na fotografii fragment codziennej pracy w Łódzkiej Rozgłośni Polskiego

Foto: R. Łucyszyn

MAŁGORZATA GOLICKA

NIE Z ETERU LECZ Z LUDZI

RADIO — potoczna nazwa odbiornika radiowego lub radiofonii

RADIO — najbardziej niezwykle zastosowanie elektryczności

RADIO — środek społecznej komunikacji

RADIO — „estetyczna organizacja całego świata dźwięków całej rzeczywistości słyszalnej”

POLSKIE RADIO — „centralny organ administracji państwowej w sprawach radiofonii i telewizji do powszechnego użytku”

I tak dalej, i tak dalej. Do tych definicji, podawanych przez encyklopedie i teoretyków radia dodam skromne wyznanie pracownika urzędnika: Radio to dla mnie pierwsze źródło informacji, to moja gazeta, gospodyni domowej: Radio to wierny towarzysz mojej krzątania, i niewidomego, sparaliżowanego chłopca: Radio to mój cały świat.

Ilu słuchaczy, tyle określeń. Lista ich nie jest jednak jeszcze zamknięta. Pokuszę się więc o dodanie następnych, prosząc o pomoc kolegów z Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia.

RADIO TO SZYBKOŚĆ INFORMACJI

dzienniki radiowe docierają do nas szybciej, niż telewizyjne, daleko w tyle pozostaje prasa codzienna. Bez serwisu informacyjnego współczesny program radiowy byłby nie do pomyślenia. Łódzka Rozgłośnia PR nadaje codziennie informacje o godzinie 12.05 w programie IV, a o godzinie 17.00 Łódzkie Aktualności Dnia.

— Nigdy nie nie wiemy na zapas — mówi red. ZOFIA BERUT z redakcji dzienników. — Przychodzi rano do pracy i nie wiemy, co przyniesie dzień. Nie wiemy, o której wyjdziemy z rozgłośni, gdzie pojedziemy na nagrania. Wiemy tylko jedno — dziennik musi się ukazać na antenie i trzeba dostarczyć do niego informację. Nie można sobie pozwolić na chwilę słabości, czy spadek formy.

Dalszy ciąg na str. 6

CIEKAWY WIECZÓR

W Oddziale Pomocy Doraźnej przy ZOZ Łódź-Polesie, wieczorem, w piątek 20 listopada, telefon dzwonił bez przerwy. Wezwania sygnali się jak z rękawa. Zespół ni 12 gotowy do wyjazdu. Karetka ogólnochorobowa, dr Janusz Znaczenuk, kierowca — Jacek Soliński i ja sanitariusz noszowy. Choć wezwanie do pacjentki lat 57 brzmiało groźnie, bóle serca, po zawale... stan chorej wyjątkowo dobry.

— Jestem emerytką milicyjną, powinnam więc korzystać ze świadczeń służby zdrowia MSW, ale wolę was — powiedziała z promiennym uśmiechem.

Zrobiliśmy wszystko, badania, iniekcja... Chcemy wyjść, ale chora nie dopuszcza do tego. Zaraz czuje się gorzej, boli ją serce. Wyrażnie stara się kłócić:

— Nikt mi tak nie zrobił zastrzyku! Jak mi dobrze, doktorze. — To krzywi usta w podkówkę, to się uśmiecha. W końcu, dla świętego spokoju, lekarz ustępuje. Wiziemy chorą do szpitala im. Pirogowa na EKG. Przewidywania sprawdziły się. Elektrokardiogram nic nie wykazał. Zadowolona pacjentka szczerłocze w drodze powrotnej. Wyszukany słowami opowiada o swojej chorobie,

przeżyciach. Sprawa jej to wyraźna satysfakcja. Na koniec mówi:

— Dziękuję za ciekawy wieczór! Wizyta trwała około dwóch godzin! Strata czasu.

Wezwanie do 32-letniej kobiety, uraz nogi. Solidnie spuchnięta, kostka chyba zgruchotana. Guz na czole.

— Mąż mi wpięprzył — zwraca się do lekarza. — Wróciłam z imienia

ma całą masę. Klienci chcą się przypodobać.

Do innej kobiety, lat 41, wchodzimy wysoko, ósme piętro windy zepsuta.

— Tak źle się poczułam — mówię. — Byłam dzisiaj u lekarza, ale wołałam wezwać jeszcze pogotowie, nie zaszkodzi! Często jest mi słabo. Czuję się niespokojnie. Jestem samotna.

przedostać, musieliśmy ją przenieść. Pracowaliśmy w milczeniu. Ja, kierowca i doktor. Wreszcie można ruszyć. Chora, lat 64, bóle brzucha! Lekarka z „Madurowicza” odesłała nas na konsultację chirurgiczną.

— Cóż to, spać nie możecie — wita nasz zespół dyżurny chirurg w „Koperniku”, dr Władysław Gos. — Ci z pogotowia, to nieznajomi ludzie! Pierwsza w nocy, a wy przyjeżdża-

łatwie. Dzisiaj lekarz bardzo rzadko spotyka się z uprzejmością. Ludzie z reguły są ordynarni. Sypią się wyzwiska. Adresy podawane niedokładnie, karetki błędnie. Sporo wezwań nie uzasadnionych.

— Strach jechać do wypadku na ulicy — powiedział mi w sobotę, gdy rozpoczynałem dyżur w Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego, dr Józef Tazbir. — Najgorszy jest tłum, który zawsze ma pretensje, że pogotowie przyjechało za późno! Zdarza się awantury, próby pobicia zespołu. Gapię chcieli, abyśmy łatali helikopterami, a przecież do wypadku jedziemy natychmiast, na sygnale!

Droga po zatłoczonych ulicach miasta nie jest łatwa, tym bardziej, że kierowcy udają, że nie słyszą sygnału. Najgorsi są ci z „maluchów”. Sam przeżyłem w „R” wyścig z takim ryzykantem. Jechał z nami lew w lew i dumnie spoglądał znad kół. Gdzie się podziały czasy wysokiej kultury na jezdni, kiedy to na sygnał pojazdów uprzywilejowanych, wszystko zjeżdżało z krawężnika, szłyśmy na ratunek. Być może, że związane to jest z tym co słyszałem od pani Sabiny Potockiej, starszej dyspozytorki z Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego.

Dalszy ciąg na str. 4 i 5

EDWARD BRYL

karetki jeździć muszą!

koleżanki, nawet dość wcześnie. Wy-pitał niedużo, cztery pięćdziesiątki. — Wszystkiemu winna ona! Dziewka jedna, ma kochanków, włóczy się po nocach — broniła syna teściowa.

Dwoje małych, wystraszonych dzieci przyglądało się nam z kąta. Bierzemy pacjentkę na prześwietlenie nogi i głowy. Pijana nie jest. W karetce opowiada:

— Chłop mi ciągle się łajda. Pracuję w „Polmożbycie”, pieniędzy

— Serce w porządku, ciśnienie w normie. Zastryk z relanium i wszystko będzie dobrze! Pośladek proszę! — Jeszcze jedno życie zmarnowane — westchnął lekarz. — Nic jej absolutnie nie dolegało.

Dwa kolejne wyjazdy do Konstancynowa. Długo błądziłyśmy w ciemnościach. Ulice rozkopane, żadnego znaku drogowego. Karetka prawie pełźnie chodnikami, a i tu zatrzymuje nas ogromna sterta płyt. Zeby się

cie — próbuje żartować. Ogląda pacjentkę. — Zapalenie pęcherzyka — należy wyciąć — zawyrokował. To już dzisiaj dwunasta operacja!

Powinna być różnica w wynagrodzeniu za dyżur, tak samo w szpitalu, jak i w pogotowiu. Jeżeli uciążliwszy, więcej pacjentów, więcej ziołówek! Jeżeli spokojny, wtedy mniej. Nikt by się wówczas nie zżymał na „natrętnych” chorych.

Warunki pracy w pogotowiu nie są

AKTUALNOŚCI

OSTATNIA akcja protestacyjna studentów objęła również część uczelni artystycznych. 25 listopada br. w Łódzkiej Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych na wiecu z inicjatywy Niezależnego Zrzeszenia Studentów podjęto decyzję o przyłączeniu się do strajku. Jednak na zebranie poświęcone omówieniu przyczyn strajku przybyło ok. 150-180 osób, a więc nawet nie połowa ogółu studiujących w PWSSP. Podobnie jak w innych uczelniach strajk był wyrazem solidarności ze studentami i „Solidarnością” radomskiej WSI, protestem przeciwko poprawkom rządowym w projekcie Ustawy o Szkolnictwie Wyższym. W Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera kilkunastoosobowa grupa studentów okupowała salę senatu, a zajęcia odbywały się w ograniczonym zakresie. Natomiast słuchacze Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Łodzi wraz z tamtejszą organizacją „Solidarności” sprowadzili swój protest do dwugodzinnego strajku ostrzegawczego.

W **OSTATNIM** czasie życie kulturalne Łodzi wzbogaciło się o dwa dodatki literackie do wychodzących tu pism. W numerze 238 „Dziennika Łódzkiego” w wydaniu piątkowo-sobotnio-niedzielnym (z 4-6 grudnia 1981) ukazała się — po raz pierwszy — kolumna pn. „Łódź literacka”, prezentująca utwory członków Oddziału Łódzkiego ZLP: opowiadanie Wandy Karczewskiej „Urzeczenie”, wiersze Ewy Filipczuk i Jana Huszary (niebawem czeka nas 45-lecie jego pracy twórczej), felieton Jerzego Urbankiewicza oraz recenzję Tadeusza Błażewskiego z książki B. Faca „Rzeźnia Maksa Heroda”. Kolumnę

PRZEGLĄD KULTURALNY

uzupełnia krótka relacja J. Urbankiewicza z II Toruńskich Spotkań Krytyczno-Literackich poświęconych literaturze emigracyjnej i kronika Oddziału Łódzkiego ZLP.

Nieco wcześniej na łamach biuletynu „Solidarności Ziemi Łódzkiej” wystartował dodatek literacki Łódzkiego Klubu Pisarzy Oddziału Warszawskiego ZLP pn. „Słowo obecność” (z datą: sierpień 1981). Na czternastu stronach znaleźliśmy m.in. Zarys programowy Klubu i 3 inne teksty poświęcone sprawom środowiska kulturalnego Łodzi. Nurt wspomnieniowo-historyczny zaowocował tekstami Szczepana Granicy (to zapewne pseudonim?) o Powstaniu Warszawskim oraz Andrzeja Ostojki-Owianego i Andrzeja Wilczkowskiego o Legionach — Pierwszej Kadrowej. Nurt ten wzbogacił fragment powieści Ludwika Świeżawskiego „Rapsoś powstanczy”. Poza tym: opowiadania A. Wilczkowskiego i Jana Czarnego, wiersze L. Skompskiej, A. Biskupskiego, J. Czarnego, S. Cieślaka, T. Giegiera, M. Kucnera, Z. Skibińskiego i J. H. Wiśniewskiego oraz recenzje. Jak się dowiadujemy, w przygotowaniu znajduje się drugi numer dodatku literackiego ŁKP OW ZLP.

ZOSTANIECH zagranicznych sukcesów łódzkich twórców. Na XXIV Międzynarodowym Festiwalu Filmu Dokumentalnego i Krótkometrażowego w Lipsku nagrodę miasta-gospodara imprezy oraz wyróżnienie Jury FOPRESCI otrzymał film Grażyn Kędziawskiej „Inny dom” (Łódzka Wytwórnia Filmów Oświatowych). Kilka nagród przywieźli lodzianie z Katowic gdzie odbywał się IX Międzynarodowy Festiwal Filmów Naukowych, m.in. w kategorii filmów dydaktycznych i miejsce zajął film W. Powady z WFO. W innych kategoriach filmów: badawczych, popularizatorskich, dokumentalnych i trzech nagrodami uhonorowano G. Kowalewskiego (z Politechniki Łódzkiej), W. Drymera i T. Kowalczyka z WFO.

NA ZAKONCZONYM niedawno w Barcelonie renomowanym konkursie wokalnym wysoka, III nagrodę otrzymała Grażyna Tonkiel — studentka VI r. łódzkiej PWSM w klasie doc. Tatiany Mazurkiewicz. Inni lodzianie, młodzi śpiewacy Urszula K. Wantuch i Janusz Marciniać szykują się wraz z pianistą-akompaniatorem Bogusławem Hajnem do konkursu wokalnego w Tuluzie. Pisaliśmy niedawno o sukcesach łódzkiej skrzypaczki Barbary Górzyskiej na koncertach w Anglii. Dziś dodajmy, że laureatka ubiegłorocznego Konkursu im. Flescha w Londynie zamierza powrócić do W. Brytanii w 1982 r. Czekają ją koncerty ze znanym zespołem London Philharmonic Orchestra oraz nagrania dla firmy EMI. Ponadto zaproszono B. Górzyską do udziału w festiwalu laureatów konkursów w Turynie i na koncerty w Paryżu. W najbliższym czasie, 13 grudnia będziemy jednak mogli usłyszeć ją w Łodzi, na koncercie zorganizowanym z inicjatywy Społecznego Komitetu Budowy Filharmonii, z którego dochód przeznaczony jest na budowę nowego gmachu PFL.

Już kilka tygodni temu pisałem na tym miejscu, że „wszystko zostało powiedziane”. Teraz widzę, że było to twierdzenie przedwczesne, zwłaszcza w odniesieniu do strony związkowej. Zresztą potwierdziła się stara prawda, że życie jest bogatsze od naszych wyobrażeń i trudno mu dostrzec kroku, a co dopiero wyprzedzić fakty. A jeśli w dodatku chce się zachować umiar, nie krakać, to przychodzi moment, że człowiek zaczyna żałować słów, których nie wypowiedział wcześniej.

Na VI Plenum partia dokonała oceny sytuacji w kraju i przyjęła jednoznaczne stanowisko wobec rozwoju wydarzeń, których kierunek nie pozostawił większych wątpliwości. Konsekwencja i stanowczość podjętych decyzji tym właśnie została poddyktowana. Było to „dramatyczne, ale oficjalne i jawne odwołanie się do społeczeństwa z apelem o poparcie jedynie możliwego sposobu rozwiązania obecnej sytuacji. Wezwanie do narodowej konsolidacji spotkało się z czynną aprobatą większości społeczeństwa, ale główny cel nie został — w każdym razie dzisiaj — osiągnięty. Projekt sojuszu z największą centralą związkową został przez nią odrzucony. Więcej, nastąpiło ze strony kierownictwa NSZZ „Solidarność” całkowite odkrycie „art, które zapewne pozabawiło resztek złudzeń nawet ludzi najlepszej woli. Myślę tu o oficjalnym stanowisku zajętym w Radomiu przez Prezydium KK i przewodniczących regionów przedstawionym członkom związku do konsultacji, jak również o swoistym „dokumencie” udestępnionym słuchaczom przez Polskie Radio. Wysłuchanie owych tam z posiedzenia kierownictwa związku, jako zapis myślenia i atmosfery obrad, jest materiałem szczególnie wiele dającym do myślenia wszystkim, także szeregowym członkom „Solidarności”.

Do wojny słów, wzajemnych oskarżeń, demonstracji siły — jako społeczeństwo przywykliśmy. To jednak, co powiedziano w Radomiu, już nie tylko szokuje jako diagnoza sytuacji w kraju, lecz przeraża swą szaleńczą nieodpowiedzialnością. Jeśli do tej pory powściągliwie mówiliśmy o ekstremalnych silech w „Solidarności”, żeby nie przesadzać sprawę i nie dotknąć partnera, dzisiaj staje się jasne, że całe kierownictwo związku, łącznie z jego przewodniczącym, wybrało metodę konfrontacji. Lech Wałęsa, do niedawna działacz umiarkowany, ha, chwalać go powszechnie jako człowieka rozsądnego i odpowiedzialnego, autor słynnego po-

wiedzenia: rozmawiajmy jak Polak z Polakiem — w Radomiu pokazał swoją prawdziwą twarz. Każdy człowiek się zmienia, ale jak sam podkreślił, nie była to przemiana z gołębia w jastrzębia, lecz taktyczny kamuflaż, „gra na nosie” władzy, totalna nieufność od początku do końca i wobec każdego, czekanie na okazję do zadania ciosu za parawanem słów, którymi mamiło się społeczeństwo i miliony szeregowych członków, ufnych w dobre intencje liderów związku. Smutne, ale też jakże niebezpieczne.

Mamy więc sytuację przeraźliwie jasną. Kierownictwo NSZZ „Solidarność” odrzuciło resztki pozorów i szykuje się do ostatecznej rozprawy z konstytucyjnym porządkiem. Związkowi bossowie zdają sobie sprawę, że

złudne poczucie siły pozabawiło krzty realizmu.

Zbliżamy się więc do zakrętu. Wzięliśmy już ich kilka w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy, z mniejszym lub większym powodzeniem. Ten zakręt ma być jeszcze ostrzejszy, z „biciem się po szcękach”, jak zapowiada Wałęsa. Czy naprawdę musi dojść do takiej próby? Osobiście uważam, że konfrontacja siłowa nie jest niewątpliwie. Przemawia za tym potwierdzone nie raz w trudnych sytuacjach poczucie odpowiedzialności naszych władz, rozważa i dobra wola generała Jaruzelskiego. Wreszcie — jak sądzę — atut najważniejszy: postawa całego społeczeństwa. Wierzę głęboko, że nasz, tak ciężko doświadczony przez historię

odgłosy tygodnia

JERZY WAWRZAK

ODKRYCIE KART

czas pracuje przeciwko nim. Konsekwentne wysiłki partii i rządu są realną szansą na stopniowe wychodzenie z kryzysu, a tym samym pozyskiwanie w coraz szerszym zakresie społecznej aprobaty. Dlatego dzisiaj staje się całkiem zrozumiałe tak zdecydowane blokowanie każdej inicjatywy rządu na rzecz poprawy gospodarki i funkcjonowania państwa, wywoływanie i podsycanie fałt niepokojów społecznych, organizowanie nekających strajków i prowokacyjnych kampanii propagandowych. To wszystko doskonale pasuje do uwagowanego obecnie scenariusza konfrontacji. Potwierdza wszystkie opinie i posądzania przeciwko którym jeszcze nie tak dawno kierownictwo „Solidarność” stanowczo protestowało. Obnaża prawdziwe intencje, że nie dobro narodu i państwa, lecz chorośliwa żądza władzy patronuje zde-

naród nie da się oszukać, podzielić na wrogie obozy, nie ulegnie demagogii, nie da się popchnąć w otchłań narodowego niebytu.

Idea porozumienia narodowego została wystawiona na ciężką próbę, ale nie może zostać przekreślona przez politycznych awanturników. Trzeba wierzyć, że obok tych sił proscjarylistycznych, które się już zdeklarowały, obok Kościoła i reszty katolickich działaczy, dotychczas swoje poparcie miliony członków „Solidarności”. Sądzę, że oni, a nie kilkadziesiąt tysięcy etatowych funkcjonariuszy, zdecydują o naszej przyszłości. Jeszcze jest czas na wszystko, przede wszystkim na oprzytomnienie kierownictwa związku. Jest czas również na zwarcie szeregów wszystkich ludzi dobrej woli, na ich stanowcze NIE dla szafowania wartością, najświętszą: naszym wspólnym losem.

TYDZIEŃ W POLITYCE

Komunikat z bukareszteńskiej narady ministrów spraw zagranicznych państw — stron Układu Warszawskiego jest obszerny. Zawiera bowiem analizę obecnej sytuacji międzynarodowej, potwierdza na jej tle aktualność propozycji wspólnoty socjalistycznej i wskazuje na drogę dialogu i porozumienia jako na jedyną, która może rozwiązać utrzymujące się, i okresowo narastające, napięcie w świecie.

Niestety — ostatni okres przynosi liczne przykłady aktywizacji polityki z pozycji siły, w następstwie której pogorszył się klimat międzynarodowy i wzrosło niebezpieczeństwo. Zwiększa niepokój może przyspieszenie tempa wyścigu zbrojeń i wprowadzenie go na nową orbitę. Zamiar rozlokowania w zachodniej Europie nowych amerykańskich rakiet, decyzja o podjęciu produkcji broni neutronowej, rozległy amerykański plan przebrojenia strategicznego, głoszenie teorii o możliwości i dopuszczalności „ograniczonej wojny jądrowej” — wszystko to zwiększa zagrożenie dla państw i narodów. Dlatego należy natychmiast przedsięwziąć konkretne środki zapobiegawcze, aby nie doszło do katastrofy jądrowej. Przede wszystkim zaś trzeba wykaazać dużą powściągliwość i odpowiedzialność oraz przestrzec, że ci, którzy by pierwsi sięgnęli po broń jądrową, popełniliby największą zbrodnię przeciw ludzkości.

Kraje wspólnoty socjalistycznej nie mają agresywnych zamiarów i nie zamierzają osiągać militarnej przewagi. Więcej — dążą do zapewnienia równowagi na możliwie najniższym poziomie i są przekonane, że redukcje zbrojeń można wynegocjować. Na jednej płaszczyźnie dialog radziecko-amerykański został wznowiony. W Genewie zaczęły się przecież rokowania na temat środków jądrowych średniego zasięgu w Europie. Interes bezpieczeństwa kontynentu wymaga, aby w toku tych rokowań wzięto pod uwagę wszystkie środki jądrowe, a więc również te, które rozlokowane są w wysuniętych bazach i na morzu. Bardzo istotne byłoby także wznowienie rozmów o ograniczeniu zbrojeń strategicznych, wyprowadzenie z impasu rokowań wiedeńskich na temat redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej i ustanowienie stref bezatomowych w różnych częściach kontynentu. Kraje nienuklearne mają prawo do otrzymania gwarancji, że nikt przeciwko nim nie użyje broni jądrowej. Powinna także nastąpić redukcja wydatków na cele wojenne, a pierwszym krokiem na tej drodze mogłoby być ich zamrożenie.

W przyszłym roku odbędzie się druga specjalna sesja Zgromadzenia Ogólnego NZ, poświęcona sprawie rozbrojenia. Jej prace powinny być tak ukierunkowane, aby zapadły decyzje rzeczywiście zapewniające zwrot w kierunku zaprzestania wyścigu zbrojeń. Do tego przyczynić może się również postanowienie madryckiego spotkania przedstawicieli państw-uczestników helsińskiej KBWE o zwołaniu ogólnoeuropejskiej konferencji odprężenia militarnego i rozbrojenia. Cieszy że w toku przeciagającego się wprowadzie spotkania w stolicy Hiszpanii nastąpiło zbliżenie stanowisk co do celów tej konferencji i sposobu jej przeprowadzenia.

W życiu politycznym Europy i wzajemnych sto-

sunkach między państwami dużą rolę odegrał Akt Końcowy Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy. Proces rozpoczęty tym aktem powinien być konsekwentnie kontynuowany. Chodzi przecież o osiągnięcie stałego postępu w umacnianiu bezpieczeństwa i rozwoju współpracy na kontynencie europejskim.

W komunikacie o bukareszteńskim posiedzeniu ministrów jest piękne stwierdzenie: „Europa stanowi dla wszystkich europejskich narodów, niezależnie od ich ustroju społecznego, wspólny dom, który nigdy więcej nie powinien stać się teatrem działań wojennych w którym każdy z nich powinien korzystać z dobrodziejstw pokoju, niezależności, postępu i dobrobytu”.

Dzisiaj sytuacja międzynarodowa jest bardzo powikłana. Ale szanując równe prawa każdego i wyrażając dobrą wolę można na drodze dialogu zmniejszyć napięcie, spowodować wzrost zaufania między państwami i wzajemne zrozumienie, zwiększyć współpracę. Bo chociaż zagadnienia, z jakimi boryka się współczesny świat, są bardzo trudne — „nie ma, jak stwierdzają ministrowie w omawianym komunikacie, wśród nich takich, których nie można byłoby uregulować drogą pokojową, z uwzględnieniem interesów wszystkich państw”.

Posiedzenie bukareszteńskie dodaje otuchy. Realistycznie, bez niedopowiedzeń ocenia powagę sytuacji międzynarodowej, ale jednocześnie nie wnośi beznadziejności, pokazuje drogi wyjścia z sytuacji, daje wyraz przekonaniu krajów socjalistycznej wspólnoty, że na te drogi świat wejdzie i zapowiada, że nie poprzestaniemy w wysiłkach, aby obecne, niekorzystne tendencje odwrócić.

W. SŁAWSKI

LISTY DO REDAKCJI

zał na rzecz budowy pomnika oszczędności swojego życia w sumie sto tysięcy złotych.

Skromne wzmianki w dotychczasowych publikacjach, nie dają pełnego obrazu walki tego około stu osobowego oddziału leśnego, działającego w latach 1942-1944.

Podjęta w ostatnim czasie praca monograficzna tego oddziału przez majora mgr. Jana Stankowskiego, będzie przyczynkiem do kart historii walk narodu polskiego o wyzwolenie. Byłbym b. rad, gdyby Sz. Pan Redaktor opublikował w/w informację, przynajmniej w ten skromny sposób uczcilibyśmy pamięć poległych kolegów.

Łącząc wyrazy szacunku,
HENRYK ORLICZ

SESJA LITERACKA

15 grudnia 1981 roku o godz. 10.30 rozpocznie się w hotelu „Światowit” (al. Kościuski 68) sesja literacka pt. „Znaczenie przełomu październikowego 1956 w rozwoju prozy polskiej”, zorganizowana przez Związek Literatów Polskich Oddział w Łodzi i Wyciął Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi.

W programie sesji zrajdą się wystąpienia dra Tomasza Burka („Październikowa rewolucja prawdy”) i dra Jerzego Poradeckiego („Rozdział o Październiku”). Następnie przewidziana jest dyskusja, zaś o godz. 20.45 zaprezentowany zostanie montaż poetycki pt. „Między rudą a rdzą” (Poezja przełomów 1956-1988-1970-1980) wg scenariusza dra Henryka Pustkowskiego, w wykonaniu aktorów łódzkich: Bożeny Pawelec, Andrzej Głogowski i Mariusza Wojciechowskiego.

Szanowny Panie Redaktorze!

Dnia 26 listopada 1981 r. w 37 rocznicę ostatniej bitwy, słocznej przez Oddział Leśny AK „Dzik” pod dowództwem por. Henryka Sieczkowskiego ps. „Władysław”, w Szwajkach — byłego województwa łódzkiego a obecnie skierniewickiego, odbyła się uroczystość odsłonięcia pomnika ku czci poległych 26 żołnierzy AK. Będąc uczestnikiem tego oddziału, pragnę w imieniu nielicznej grupy tych którzy przeżyli, dać wyraz uznania Społecznemu Komitetowi oraz Zakładowi pracy Białej Rawskiej za trud i wysiłek w zorganizowaniu tej uroczystości.

Na szczególnie podkreślenie zasługuje czyn ob. Rudzińskiego-nauczyciela z Woli Choinaty, który przekaza-

To, co poniżej, pisałem w grudniu 1971 roku, w pierwszą rocznicę Grudnia. Tekst nie mógł zostać opublikowany w Łodzi, przyjęła go „Polityka”, w której ukazał się w lutym 1972 r.

Reportaż został jednak skrócony, w sposób — jak mi się wydaje — ważący, i na przesłanie, i na konstrukcję.

Owczesne skróty zaznaczam wytłuszczeniami. Są chyba one swobodnym dokumentem zmian w sposobie myślenia o Grudniu, jakie dokonywały się w ciągu jednego zaledwie roku...

REFLEKSJA. Wytrzymałość człowieka zależy od innych parametrów niż temperatura, wilgotność, ciśnienie. Jak przed rokiem, ośliż, robaczywe zimnisko wciska się pod kołnierz. A tymczasem — mówią mi w Komitecie Zakładowym partii — najsmielsze wyliczenia nie pozwalają marzyć o takim wzroście wydajności pracy, o takich wskaźnikach ekonomicznych. Stocznia Gdańska im. Lenina nie miała w swojej historii tak dobrego roku. W 1970 r. wydziały kadłubowe wykonywały 96—97 proc. norm, w 1971 r. 111—112 proc., a silnikowcy z wydziału S-4, od których

skonstruowania, wygodnictwa i prymitywizmu metod pracy. A u nas co, wszystko pięknie? — Weź pan taką rzecz. Jak trzeba zrobić jakąś dupele na statku, to jeden przygotowuje spaw, drugi spaw, trzeci czyści, czwarty zakłada podkładkę, piąty maluje, i tak dalej, a każdy jest z innego wydziału, z K-2, K-3, K-4. To ma być dobra organizacja pracy? Nie czasu na ganienie marnuje się. Moja głowa do tego potrzebna? Nie powinno być jednej brygady, która by to wszystko robiła? Panie, albo weź pan to — mamy na stoczni 16 tysięcy ludzi, a tylko 8 tysięcy bez-

szta obstawiona pochylonymi krzesłami. Delegacyjni goście.

Na stoliku „Głos Wybrzeża”, który czytałem z monterem kadłubowym. Dwóch facetów, lekko już podbuzowanych, pyta, czy mogą zjeść obiad w moim towarzystwie.

Za kilka minut już się nie będą kłopotować. Czytam „Głos”, panowie zażywni, dobrze odziani, jeden z dużym, złotym, lecz gustownym sygnetem na palcu, rozmawiają.

Jednym z najważniejszych czynników decydujących o skuteczności działania... jest i będzie sprawność w organizacji pracy i w kierowaniu

Cieplicach, buduje się już nowe sanatorium w Polanicy, otrzymaliśmy ekstra nowy, czynny cały rok, ośrodek wczasowy na 120 miejsc w Tardzie. Otwarta została przychodnia zdrowia ze szpitalikiem. Mamy wielu ludzi w hotelach robotniczych, w kwaterek prywatnych, jak taki zachorował na zwykłą gripę, to mu czasem szklanki herbaty, nie mówiąc o lekarstwach, nie miał kto podać. I sprawa najważniejsza — mieszkania. W ubiegłym 5-letcu dostaliśmy niewiele ponad 700 mieszkań dla naszych pracowników. Teraz zaplanowano 2400. Sporo, choć i tak jeszcze za mało. Ale to już jest perspektywa, dla ludzi. Można osiąść, rodzinę założyć, fluktuacja załogi się zmniejszy.

PERSPEKTYWA. W redakcji „Dziennika Bałtyckiego” wydieram kolegom materiały, które przygotowywali do numeru noworocznego. Jest w tej pięciolatce modernizacja pochylni i hal produkcyjnych w Stoczni Gdańskiej. To jeden z postulatów przedzjazdowej dyskusji załogi. Buduje się Port Północny, w 1974 r. będzie już w nim pracować pierwsze stanowisko do przeładunku węgla. Port o największych basenach na Bałtyku, dla 100-tysięczników. W Gdyni powstanie drugi suchy dok do budowy statków ponad 100 tys. DWT. W latach osiemdziesiątych — nowa stocznia połączona z Portem Północnym.

I tak dalej.
I tak dalej. Dalej.
Jest się na czym oprzeć.

NASTĘPNEGO DNIA, W MIESZCIE. Wichura uciucha, morze jeszcze rozhuśtane, ale nad Gdańskiem piękne słońce. Szczypie lekki mróz, orzeźwia, uspokaja serce, dygocące jeszcze niższą pogodą. Na ulicach przestrzenie, nie tak jak latem. Przewalili się już tłumy spieszące do pracy, na dworcu pusto, kolejni kursują jakby z przyzwyczajenia, bo pasażerów niewiele. Kilku godzinna przerwa w ulicznym życiu. Niedługo jednak komunikacyjne arterie znów specznieją, wyleje się z nich tłum, rozbiegnie do sklepów, część zostanie wesana na powrót, do pracy ruszy druga zmiana. Codzienny, regularny rytm.

PREMIERA W TEATRZE WYBRZEŻA. Nosi to przedstawienie tytuł „Świat zawikłany”, jego premierę traktował zespół jako swój głos w dyskusji przedzjazdowej.

Mówi ze sceny Kochanowski:

Wy, którzy pospolitą rzecz
A ludzką sprawiedliwość w ręku
Wy, mówię, którym ludzi paść
I zwierzechności nad stadem bożym
Mieście to przed oczyma zawady
Zęście miejsce zasiedli boże na
Z którego macie nie tak swe
Jako wszystkie ludzkie mieć rodzaj
Albertus przypomina Piastowi:
By ten lud miał wodza dobrego,
a do rządu się nieco
nakłonić dał, nie byłoby na świecie
bitniejszego o czystszy narodu.

ZAKOŃCZENIE REPORTAŻU

grudzień 1971 r.

JERZY KATARASIŃSKI

W Gdańsku czyli w Polsce

(notatki do reportażu)

Konrad: — Musimy coś zrobić, co by od nas zależało, zważywszy, że dzieje się tak dużo, co nie zależy od nikogo.

(S. Wyspiański, „Wyzwolenie”) PUNKT WYJŚCIA: W „Wyzwoleniu” Teatru Ziemi Łódzkiej — najciekawszym dotąd przedstawieniu łódzkiego sezonu — Konrad, jak u Wyspiańskiego, jest zakuty w kajdany. Nie żadne jednak kajdany serio, nie pozwalające się poruszać, jak to często bywa w teatrze, lecz kajdany konwencjonalne, przeszkadzające myśleć, jak najczęściej bywa w życiu.

Kajdany zdejmują Konradowi robotnicy.

Robotnicy mają na głowach hełmy.

Czerwone.

OPIS SYTUACJI. Na morzu 8—9 stopni Beauforta. Grudzień. Sztorm. Trzeba było przerwać prace przy Porcie Północnym, takiej wichurze i takiej fali nie oprze się najcięższy sprzęt. W stoczni jest trochę lepiej, ale „lepiej” znaczy tylko tyle, że wiatr nie zdmuchnie cię do lodowatej wody. W drodze od bramy nr 2 do wydziału K-3, paręset chyba metrów, przemierzysz na kość. Nieustający, ostry pryszczyk śniegu z deszczem zamienia twarz w zastygłe, nieruchome maski, ręce grabieją, trudno utrzymać płóto, młot, aparat spawalniczy. Na pochylni praca. W basenie stoi „Germa Star”, zwodowany dwa tygodnie przed terminem. Zobowiązania przedzjazdowe, wykonane w całości, objęły 7 takich wodowań. Skrócenie terminów od 10 do 24 dni. Miliony złotych.

Na „Germie” jest teraz cieplej, w jej wnętrzu trwają prace wyposażeniowe, ale tuż obok stoi kadłub chłodnicowca, przy nim jeszcze robota na powietrzu. W takich, jak dzisiejsze, warunkach nie można tylko malować — farba nie chwytą, podchodzi wilgoć. W niższych temperaturach nie można spawać, spawy rozciągają się, pękają. Parametry dotyczą technologii, sprzętu, który stawia opór, odmawia posłuszeństwa. Nie dotyczą ludzi, którzy w odróżnieniu od farb, aparatów spawalniczych, dźwigów, umieją się przystosować, myślą, mają wolę. Zawody stoczniowe nie są zresztą dla pieszczołów.

wszystko się zaczęło, pracują już na drugą połowę 1972 r. Wzrost produkcji stoczni — prawie 15 procent.

ROZMOWA ZE ŚLUSARZEM. — Co zdecydowało o tym, że ludzie tak ruszyli do roboty? Ciepłe napoje, gorące zupy na wydziałach? Pewnie, że też. Sprawiedliwe uporządkowanie plac, zamrożenie norm? Jasne. Odzież ochronna, że więcej i że lepsza, choć to, że lepsza, to dopiero postulat? — Oczywiście.

Wszystko to jest ważne, ale to przecież nie wszystko. Więc myślę, pan się będzie śmiał, że tak niekonkretnie i jak z gazetą, ale teraz zdecydowała zmiana atmosfery, to co dziś się mówiło na VI Zjeździe. Zobaczyliśmy, że na nas patrzy się jak na ludzi. Przedtem był plan, zadania, facet od normowania ciał normy techniczne jak mu się ołówek pośliznął, za biurkiem, nawet nie przyszło do nas, nie popatrzył, czy ta jego norma w ogóle jest wykonalna, czy jest dla ludzi. A teraz ludzie wzięli się za plan i zadania. I jest lepsza robota, wykonanie leci w górę. Można dobrze pracować, ale trzeba wiedzieć, że to, co się robi, jest ważne, że jest w tym jakiś cel.

II.

Konrad: — My mamy za wielkie poczucia solidarności narodowej. Bo wszędzie są złodzieje i rozbójce i oszusty. A mimo to żyją jako kompleks ludzi, pod jednym tytułem. A nam właśnie z okazji tej właśnie połowy, która jest złą. W nas chcą wmówić, że za to jesteśmy odpowiedzialni i że jesteśmy do niczego.

PRASÓWKA Z MONTEREM KADŁUBOWYM W CZERWONYM HEŁMIE. — Weź pan zjazdowe przemówienie Gierka w „Głosie Wybrzeża”. Stopniowe skracanie czasu pracy, z czasem wolne soboty, a jak kto chce — wcześniejsze emerytury. To musi cieszyć, ale jak to zrobić? Weź pan Jaroszewicza, mam tu pod ręką: nie możemy tolerować dyktantyzmu i

pośrednio produkcyjnych. Bez inżynierów, dyrekcji, nic się nie robi, to jasne, oni robią postęp. Ale ile jest tej administracji, która przekłada papierki z szuflady do szuflady? Ja tam mówić nie umiem, ale niech pan sobie przeczyta wywiad z naszym delegatem. Prymasem.

WYWIAD W „TYGODNIKU KULTURALNYM” z 5.XII.1971 r. Z DELEGATEM NA VI ZAJAZD, STOLARZEM BRUNONEM PRYMASSEM. — O tu, niech pan czyta, dobrze mówi: Nikt nie chciał zamieniać ustrój, nikt nie był przeciwko socjalizmowi. Marynarze mówią na obrosłe muszlamy i wodorostami kadłuby statków, że mają one broń, która hamuje szybkość statku, jego zwrotność. Na naszym socjalizmie narosła też taka broń, a pogarda dla ludzi, obojętności i pustostawia. Trzeba było ją zgolić, aby nie hamowała postępu. I dalej pan czyta: Wiemy teraz, że góra chce dobrze. Tu przy warsztatach robotnicy też chcą dobrze, ale gdzieś pośrodku jest jakby tafla lodowa, przez którą ciężko przedzielić się promień odnowy. Dostarczono kolesiów przed budkami z piwem, ale bardziej niebezpieczni, groźni dla całego procesu odnowy, są kolesie z nomenklatury, żelazni dyrektorzy, dożywni naczelnicy, otrząskani z prawem i frazeologią. Kolesi pije piwo na własny rachunek, wystawia się na pośmiewisko, a ci, co przepuszczają państwowy grosz i niezastąpioną premie — często c idą w aureoli gościnnych gospodarzy. Nawala jeden za drugim w robocie, bumeluje, okradnie kolegę — won ze stoczni. Chodzi o to, aby wykształcić wśród załogi zawodową godność. Pokazać, że jesteśmy zdolni i do buntu i do solidnej roboty.

Panie, to są nasze słowa, nasza mowa.

OPIS ZDARZENIA W RESTAURACJI HOTELU „MONOPOL”. Jedyny hotel w mieście załączony, panie z recepcji rozkładają beczadnie ręce, ale w restauracji senna cisza. Piosenkarze rozjechali się do ciepłych krajów, a sezonowi goście z apartamentów wolą pić koniak na tie Giewontu. Kilka czynnych stolików, re-

pracą. — Ale rozumiesz, on ma swoje chody, przedstawił już projekt... skiemu, sprawa poszła dalej. Podstawowym warunkiem podniesienia poziomu organizacji pracy i kierowania jest obecnie prawidłowy dobór i intensywne kształtowanie kadr kierowniczych. — Więc trzeba zadziałać inaczej. Skontaktowałem się z... jczem, on też pojął, że jego pozycja, jeśli projekt przejdzie, będzie mocno osłabiona. Czuję pismo nosem. Z polityki kadrowej należy wyeliminować subiektywizm... oprzeć ją na dobrze wypracowanych kryteriach obiektywnej oceny kadr, na kryteriach: postawy ideowo-politycznej, wiedzy zawodowej, umiejętności kierowania ludzkimi zespołami oraz organizowania ich pracy. — Jak dojdzie do spotkania, z nami będzie co najmniej trzech, razem pięciu. Trzeba jeszcze postarać się o... ewską, żeby nie pyśkowała. Z nią dobrze jest... dzki, w razie czego da jej do zrozumienia, że może polecieć za tę sprawę z wiosny. Teraz widzisz, że trzeba dobrze głową pokreślić. Społeczeństwo swe sądy o polityce partii i w dużej mierze państwa, kształtuje na podstawie oceny pracy ludzi, którzy piastując określone stanowiska reprezentują partię i władzę ludową. — Ale trzeba być czujnym, gdyby... lewicz się zorientował, położy łapę, pójdzie razem z nim, więc po cichu, aby nie wyczuł, co się dzieje... I tak dalej i tak dalej.

I tak dalej i tak dalej.

— Poproszę rachunek.

— Nie, osobno.

III.

Konrad: — Wziąłem to Imię — zgadniesz z czynu:

Czy będę, zgadniesz, czym jestem;

chcę działać.

Muza: — Wiem, rozumiem: gestem.

Konrad: — Czynem!

ROZMOWA W KZ PZPR. — Nad wieloma sprawami jeszcze pracujemy, ale to sobie możecie zanotować i to jest pewne. Poza sanatorium w



Dalszy ciąg ze str. 1

— Gdy zaczęłam tutaj pracę 22 lata temu, 30-40 wozów na dobę uważano za bardzo dużo. Ale wtedy pogotowie jeździło do przypadków poważnych, zagrażających życiu. Dziś wozów jest średnio 250 na dobę. Zalatujemy stany podgorączkowe, bólesne mięśniaki, bólesne głowy. Duże zakłady pracy też mają swoje karetki, jednak wzywają pogotowie do zwykłego przewozu!

Sam dojazd karetkami do szpitali nie jest prosty, zwłaszcza w dzień. Samochody panów doktorów, a dodatkowo w godzinach wizyt — i odwiedzających, skutecznie tarasują drogę do izby przyjęć. Najgorzej jest przed „Madurowicem”, „Pirogowem”. Przydałoby się jakieś odpowiednie zarządzenie, może wydzielone parkingi, albo chociaż trochę kultury i pomyślności!

Przy ul. Sędziowskiej, gdzie mieści się podstacja balucka, same wyrwy, dziury. Karetki nagminnie psują się, łamią resory. Czy naprawdę nikt nie może temu zaradzić? Co na to władze dzielnicy?

MIĘDZY POGOTOWIEM A SZPITALEM

Zdarza się, i to wcale nierzadko, że jeździ się z pacjentem od szpitala do szpitala i nigdzie nie chcą go przyjąć. Nawet interwencje u dyżurnego lekarza wojewódzkiego nie zawsze pomagają. Takie wizyty trwają po 4-5 godzin!

Np. 12 listopada br. powiadomiono pogotowie, że na ul. Obrońców Stalingradu leży nieprzytomny mężczyzna około lat 50, bez dokumentów. Postanowiono zawieźć go do kliniki „Barlickiego”, jednak lekarz dyżurny stwierdził, że chory nie kwalifikuje się do nich — może na internę w „Pirogowie”. Tutaj też odmówiono przyjęcia. Spróbowano jeszcze w „Koperniku”, może się uda. Niestety, także tu chory nie znalazł pomocy! Autorytatywnie orzeczono, że nie wymaga hospitalizacji, wystarczy dom opieki społecznej. Zawieziono go więc do 6 Domu dla Przewlekłych Chorych przy ul. R. Luksemburg. Tam zmarł w windzie! W kieszeni niedźnego ubrania znaleziono mały szczyrek i kilka kromek suchego chleba.

Co robił wtedy lekarz dyżurny województwa, I zastępca dyrektora Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej, dr Tadeusz Rzeźniowiecki, dlaczego nie nakazał przyjęcia? (o kolejnych odmowach informował go ze szpitali). Po co tam siedział? Jeżeli w szpitalach nie było miejsc, w co szczerze wątpię, a można to łatwo sprawdzić, to dlaczego nasz doktor nie skierował pacjenta do oddziału szpitalnego przy pogotowiu? Tutaj łóżka były i to sporo! Chyba dla takich przypadków ten oddział istnieje. Później, w rozmowie ze mną, dr T. Rzeźniowiecki przyznał, iż teraz wie, że pacjent powinien znaleźć się w szpitalu, ale tak się pechowo złożyło... Zlecił już dochodzenie w tej sprawie. Winni będą ukarani! Czy aby wszyscy, panie doktorze?

W sobotę, 21 listopada, dyżur przypadł mi w zespole wypadkowym nr 3 Stacji Pogotowia przy ul. Sienkiewicza. Lekarz, Józef Tazbir, chirurg ze szpitala „Kopernika” sanitariusz Kazimierz Bonawenturski kierownik Ryszard Wypych. Po godzinie 19 nastąpiła zmiana sanitariusza i kierowcy. Nowy sanitariusz, Marek Dąbrowski, który po trzyletniej przerwie wrócił znów do pracy w pogotowiu, oświadczył: *Lubię pogotowie,*

wciąga człowieka i chyba tu już zostanie! Wyrwałem się na krótko, pracowałem prywatnie przy wyrobie guzików z nadrukiem; teraz, z braku surowca, interes przestał istnieć. W pogotowiu czuję się jak u siebie.

Nasz kierowca, Mirosław Błaszczuk, uśmiechał się przyjaźnie. Na pięć wizyt tylko jedna do człowieka, u którego przyczyną choroby nie było upojenie alkoholowe. Pierwszy pacjent pił całą noc, grał w karty, potem zjadł pięć opakowań meprobamatu — łącznie sto tabletek. Nieprzytomnego zawieźliśmy na toksykologię przy ul. Teresy. Następna delikwentka, jak mówiło zgłoszenie, wpadła pod samochód. W rzeczywistości siedziała pijanulka ze skrośniętą nogą, na ławce pod blokiem przy ul. Julianowskiej. Towarzyszyli jej dwaj panowie, też pod „dobrą datą”. — *Kurwa mać* — powiedzieli na przywitanie — *potknęła się i noga poodziała...*

— *Tylko delikatnie ze mną* — wybełkotała pacjentka — *ja też jestem służba zdrowia!*

Inne wezwanie brzmiało groźne. Na klatce schodowej, ul. 22 Lipca 29, leży zakrwawiony mężczyzna, żyły podcięte! Kiedy przyjechalśmy, była tylko krew na schodach, człowieka ani śladu. Na pierwszym piętrze, przez zamknięte drzwi, słychać było gwar alkoholowej libacji. Zapach dymu i wódki unosił się w powietrzu. Stamtąd wypadła na wpół rozebrana kobieta w staniku i spódnicy:

— *Panowie, szybciutko, mąż umiera!*

Ruszyliśmy ku wejściu. W pokoju olbrzymi, zastawiony stół, butelki, sądząc po ilości — pewno bimbru. Koltanina ludzkiego ciała. Jakies płaczące dzieci. Dalej — mroczna głębia mieszkania, amfilara otwartych na przestrzał, chyba pięciu pokoi, w których też coś się działo. Nagle z gromady z impetem natarł na nas prawie goły mężczyzna, zbudowany jak gladiator, cały we krwi.

— *Wy, czego tu? Spierdalać, łapi-duchy, ale już!* — Poteźny cios prawicy, wymierzony akurat w doktora, trafił w próżnię. Zdażył się uchylić. Pomknęliśmy do karetki wezwać milicję. Radiowóz przyjechał szybko. Po dłuższych pertraktacjach „chory” pozwolił się zabrać na szczyt. Jeszcze awanturował się w karetce, siły miał za nas trzech, skaleczenie nie było poważne. Doktor utyskiwał:

— *Mogliby pomóc go przetransportować. Prędzej nadaje się do izby wytrzeźwień, niż do nas, ale zżyć go trzeba...*

Tuż przed godz. 22 wezwanie do ka-wiarni „Kurant” na pl. Wolności. Dwaj pijani mężczyźni — 23 i 29 lat. Nieprzytomni. Uraz głowy, wstrząśnienie mózgu. Obydwaj na chirurgię do „Kopernika”. Na trzydziestoosobowy oddział dwa łóżka zablokowane przez pijacków!

Wizyta na ul. Rzgowskiej. 83-letni człowiek po trzech walech. Bóle serca. Bardzo się zdenerwował audycją telewizyjną o Władysławie Sikorskim.

— *Byłem oficerem u Andersa. Znałem osobiście gen. Sikorskiego. Co on wygaduje! Same kłamstwa, słuchaj tego nie można.*

Stan chorego rzeczywiście wymagał natychmiastowej pomocy.

Ostatni wyjazd o północy do restauracji „Masza”, gdzie odbywało się wesele. Jedna z uczestniczek tak ostro poszła w tany, że złamała... nogę! Do rana spokój! Ale jak mnie poinformowała radiodyspozytorka, Halina Kubera, ruch zaczął się dopiero w niedzielę wieczorem i trwał do wczesnych godzin dnia następnego. Wiadomo, dwa dni były wolne, wielu

chciało je sobie przedłużyć. Tym bardziej, że dużo czasu większość właścicieli samochodów straciła w kolejkach po benzynę! Od jutra przecież znaczna podwyżka cen!

GDZIE RODZIĆ?

Jan Warda, dyr. Specjalistycznego Zespołu Chorób Płuc w Łagiewnikach, po niedzielnym dyżurze lekarza wojewódzkiego mówi:

— *Ileż jest tutaj, zawsze muszę interweniować w sprawie braku łóżek położniczych! W mieście nie było nawet skrawka wolnego miejsca na położnictwo. W „Jordanie” cały rząd ciężarnych siedział na krzesłach w izbie przyjęć, gotowych do*

dociągowej i bez pomocy lekarza wojewódzkiego nie można było zrobić. Najczęściej jednak szpitale „zatykały się”. Brak po prostu miejsc. Głównie dotyczy to położnictwa. Nie ma prawie dnia, aby nie było alarmu. Krótkowzroczna, bezmyślna polityka władz Wydziału Zdrowia ostatnich lat doprowadziła do stanu wręcz katastrofalnego. Od dłuższego czasu, już po dwóch dobach wypisuje się matki z noworodkami. Jak w takiej sytuacji dokonać obowiązkowych szczepień ochronnych, które muszą być zrobione w ściśle określonym czasie, np. BCG, bezwarunkowo w czwartej dobie. Nie zawsze zdąży się „złapać na czas” małego delikwenta; później są poważne komplikacje.

Dlatego w szpitalu MSW przy ul.

Zdrowia Urzędu M. Łodzi nie może się zdecydować, co tam otworzyć. Może jednak położnictwo? Przecież to pięta achillesowa łódzkiego szpitalnictwa!

O POGOTOWIU DLA POGOTOWIA

— *Coraz większe są kłopoty z obsługiwaniem karetek* — mówił dyrektor Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Łodzi Jerzy Oklańczyc. — *Srednio tylko 60-70 procent zespołów wyjazdowych we wszystkich podstacjach jest do dyspozycji pacjentów. Na niedosty kadry ten newralgiczny pion służby zdrowia*

KARETKI JEŹDZIĆ MUSZĄ!

rodzenia. To, co się dzieje na ginekologii i położnictwie, to istny skandal! Co za dureń zdecydował, aby dwa duże szpitale położnicze: „Wolf” i „Skłodowskiej-Curie” oddać jednocześnie do remontu.

Dyżurny lekarz województwa ma uprawnienia dyrektora Wydziału Zdrowia. W przypadku masowych za-truć, wypadków drogowych, itp. podejmuje odpowiednie decyzje. Na ogół jednak zajmuje się bardziej pro-zajacznymi sprawami. A to w jakimś szpitalu zabrakło tlenu, nastąpiła awaria instalacji elektrycznej czy wo-

Północnej nie można części łóżek ginekologicznych, stojących wiecznie pusto, przeznaczyć na potrzeby położnictwa? Wydaje się, że odpowiedź jest prosta: położnictwo absorbuje, jest uciążliwe i kłopotliwe. Natomiast w ginekologii dyżury bywają z reguły ciche, spokojne. A może stworzyć oddział choć dla piękniejszej polowy pracowników MSW? Nawet takie rozwiązanie pomógłby miastu! W szpitalu Mlejskim im. Marchlewskiego w Zgierzu stoi 45-łóżkowy oddział w nowym pawilonie już od paru miesięcy. Dyrekcja Wydziału

cierpiał od lat, dlatego w roku 1978 w dzielnicowych ZOZ powołano oddziały pogotowia ratunkowego. Na krótki okres sytuacja uległa znacznej poprawie. Obsada w niektórych dzielnicach prawie stuprocentowa. Czas wyczekiwanie na przyjazd skrócił się bardzo. Obecnie jednak zabieg kierow-ników oddziałów pomocy doraźnej w celu zwiększenia liczby „dyżu-rantów” są bezowocne. Ani próby, ani groźby bezpośrednich przełożo-nych — dyrektorów ZOZ, ordy-natorów oddziałów, nie zmieniają sy-



Foto: R. Łuczyszyn

POLEMIKI

Na wstępie chcę nawiazać do mojego listu z dnia 10.9. br. w sprawie zasług prof. Karola Adamieckiego dla upowszechniania dorobku światowej myśli organizatorskiej w Polsce. Utworzone dzięki jego staraniom Zrzeszenie oraz Instytut Naukowej Organizacji Pracy już od 1925 r. rozpręcały wydawanie dzieł klasyków tej wiedzy o powszechnym wówczas znaczeniu. Nawet obecnie,

dnakże w mniejszym stopniu”. (str. 9). I dalej: „...przeszło 50 proc. odpowiedzialności za straty przypada na kierownictwo, mniej niż 25 proc. na robotników, najmniejsza zaś część przypada na wpływy zewnętrzne”. (str. 11).

Wielu autorów różnych dzisiejszych publikacji w prasie, w radio i telewizji usiłuje urabiać opinie, że to ogół pracujących jest odpowiedzialny za straty i niszczenie w mniejszym stopniu”. (str. 9). I dalej: „...przeszło 50 proc. odpowiedzialności za straty przypada na kierownictwo, mniej niż 25 proc. na robotników, najmniejsza zaś część przypada na wpływy zewnętrzne”. (str. 11).

Wielu autorów różnych dzisiejszych publikacji w prasie, w radio i telewizji usiłuje urabiać opinie, że to ogół pracujących jest odpowiedzialny za straty i niszczenie w mniejszym stopniu”. (str. 9). I dalej: „...przeszło 50 proc. odpowiedzialności za straty przypada na kierownictwo, mniej niż 25 proc. na robotników, najmniejsza zaś część przypada na wpływy zewnętrzne”. (str. 11).

spełniając swoją rolę propagandową, nie proponowały własnych oryginalnych metod działania. Wraz z dorobkiem połączono również jego twórców, w tym także prof. Adamieckiego, w sposób niegodny i stojący poniżej poziomu dyskusji naukowej. Przykładem tego może być publikacja III Eprtejna pt. „Aktualne zagadnienia nauki organizacji pracy” w wydaniu Głównego Instytutu Pracy w Warszawie w 1949 r. Twierdząc, że od tego czasu sprawa wiedzy o funkcji i

zadaniach kierownictwa speliła do roli sloganów, a organizacja życia gospodarczego, dawiona nakazowo-rozdziałczym biurokratycznym systemem scentralizowanego zarządzania utonęła w marnotrawstwie i nieudolności. System ten fa-woryzował wszystkie te badania, których celem była organizacja samego tylko procesu wytwarzania, zaniedbując świadome rozwijanie umiejętności kierowniczych jako rzekomo zbędnych, skoro funkcje te spełniać miał i spełniał scentralizowany aparat. Jedyny dyspozycjonista kierownik, mający uprawnienia do wyboru i decyzji. Już w 1957 r. prof. Czesław Bobrowski słusznie nazwał to zjawisko „deficytem zdolności zarządzania” (Przegląd Techniczny nr 8/57). I tak pozostało do dnia dzisiejszego, bo ukazuje się na ten temat naukowe i dydaktyczne publikacje miały na celu, z politycznej ostrożności autorów, jako jedyny cel ten system poprzeć, a nie zrewidować.

Myśl napisania tego listu powstała u mnie po przeczytaniu w „Ogłoszach” wywiadu z prof. dr hab. Zdzisławem Grzelakiem w nr 44 i artykulu doc. dr hab. Cezarego Józefiaka w nr 46, gdzie w sporze „samorząd czy manager” główną troską autorów jest, kto ma sprawować funkcje kierownicze, a nie jak je należy obecnie wykonywać i na czym one rzeczywiście polegają.

Mając już za sobą okres zawodowej aktywności, mając także za sobą doświadczenia 35 lat pracy w PRL jestem przekonany, że deficyt zdolności zarzą-

dzenia występuje nadal tak samo, jak 35 lat temu. Wówczas niepokój o sprawę szkodliwą dla napisania pracy pt. „Założenia współczesnego kierownictwa”, której maszynopis jako praca magisterska znajduje się w bibliotece Wydziału Ekonomicznego UŁ. W 1959 r. wykorzystalem to opracowanie w konkursie „Kuriera Polskiego” nt. „Jakiemu chcemy szefowi”. Jury zechciało uznać moją wypowiedź jako najlepszą i dlatego ośmielałem się wtargnąć do dyskusji między naszymi uczonymi adwersarzami.

Nabyte w wielu jednostkach gospodarki uspołecznionej doświadczenie upoważnia mnie do wyrażenia obawy, że system naukowo-rozdziałczy był konsekwencją jakości kadry kierowniczej pozostawionej na stanowiskach z łaski nomenklaturowej polityki kadrowej partii i dlatego stało się to, przed czym przestrzegał Harrington Emerson w „Dwunastu zasadach wydajności” pisząc na str. 52, że „...zły kierownik, opierający się na nieprawidłowej organizacji, bez kierowniczych idei, nie może mieć powodzenia i niewątpliwie doprowadzi do ruiny wszystko to, co zostało mu powierzone”.

Wszak byłem niejednokrotnie świadkiem tego, przed czym przestrzegał Henry Fayol w „Administracji przemysłowej i ogólnej” wytykając, że „...w sprawach technicznych dany kierownik nie odważyłby się postąpić przeciw pewnym ustalonym regulom, aby się równocześnie nie narażać na utratę całej swej powagi, lecz w sprawach administracyjnych może on sobie pozwolić bezkarnie na najśmiańszkie próby”. (Wyd. L.N.O.P. 1926 r. str. 22). Oprócz przestrogi napisał on także następującą cenną myśl, która stała się drogowskazem dla wielu późniejszych autorów, a mianowicie: „Rządźcie to przewidywać... Przewidywać znaczy to zarządzać obliczając przyszłość i przygotowując ją, to już działać”. (str. 62).

Po latach inny rzeczoznawca będzie się uskarżał, że jako doradca przemysłowy, który poznał setki dyrektorów i wiecznie te same nurtujące ich proble-

my, musiał stwierdzić głośno i wyraźnie, że kierownictwo zwierzchnie jest w większości przypadków tym wydziałem, który jest najgorzej zorganizowany (P.A. Schlenker, Unternehmer, Direktoren, Manager” Econ-Verlag 1954 r. str. 31).

Kiedy rozważamy problem „samorząd czy manager”, to pamiętajmy, że jeden z największych autorów teorii współczesnych w sprawach kierownictwa — Peter F. Drucker — tak zdefiniował te funkcje: „Kierownik jest siłą dynamiczną i życiodajną w każdym przedsiębiorstwie. Bez jego przywództwa środki produkcji pozostałyby tylko środkami, nie przetrwałyby nigdy postaci produkcji”. („Practice of Management” — wyd. Hel-nemann — Londyn 1955 r. str. 1) dodając dalej, że „Kierownictwo jest organem społeczności, którego głównym zadaniem jest wydajne zastosowanie środków produkcji i ponosi ono odpowiedzialność za zorganizowanie postępu gospodarczego i w tym znaczeniu jest odbiciem ducha naszego stulecia”.

A więc to kierownictwo musi ponosić tę odpowiedzialność. Pytanie tylko przed kim?

Czy samorząd, utworzony z ludzi dobrej woli, wybranych przez załogę, nie mających niezbędnej wiedzy jak należy wykonywać funkcje kierownicze i na czym polega sprawna organizacja, będzie w stanie skutecznie nadzorować odpowiedzialną przed nim administrację? Kto ma tym ludziom tę wiedzę przyswoić, skoro brak jest tłumaczeń lub omówień najlepszych pozycji w światowej literaturze na te tematy? To, czym dysponujemy, mogłoby wprowadzić jedynie w błąd, czego dowodem jest dotychczasowa praktyka.

Rzeczoznawcy amerykańscy stwierdzili, że spóźnione wydanie w USA dopiero w 1939 r. pracy Fayola o „Administracji przemysłowej i ogólnej” (u nas wydano ją w 1928 r.) opóźniło rozwój gospodarki o 10 lat. Co mamy wobec tego powiedzieć my o naszych zaletach wśród ogółu kadry kierowniczej w znajomości aktualnego światowego

TADEUSZ ORDYŃSKI

Samorząd czy manager

po upływie przeszło półwiecza, znajomość tych pozycji byłaby bardzo przydatna u nas dla osób zajmujących kierownicze stanowiska wszystkich szczebli. Jedną z tych książek — praca zbiorcza Federacji Inżynierów Amerykańskich, opublikowana w oryginale w 1921 r. pt. „Marnotrawstwo w przemyśle”, dałaby do myślenia naszym kierownikom w aparacie gospodarczym. Jest tam następujące ważne stwierdzenie.

„Kierownictwo zakładu ponosi największą odpowiedzialność za niezapobieganie stratom. Obowiązek ten i odpowiedzialność ciąży również na robotnikach, je-

ka wydajność. Nie bardziej fałszywego! Należy żałować, że po II wojnie światowej, w czasie kiedy nauka o kierownictwie mogła w Polsce rozpocząć swój triumfalny rozwój, oswojona od krępalających ją dawniej sprzeczności na te stosunków społeczno-politycznych, została ona nieestety najpierw odstawiona na boczny tor, a potem wykreślona z rejestru nauk, które mogą być pomocne przy budowie socjalizmu. Dawny dorobek nie został przetransmitowany pod względem jego przydatności, lecz rosgromiony i dogmatycznie potępiony w jednostronnie ujętych publikacjach, które

tuacji. Cóż one znaczą w dzisiejszych czasach dla lekarza, zwłaszcza młodego, gdy nie są poparte konkretną motywacją do pracy — odpowiednim wynagrodzeniem. Od szeregu lat medycy na usługach pogotowia ratunkowego należą do najniższych płatnych pracowników służby zdrowia. I chyba to jest główną przyczyną utartej opinii, że ten, kto bierze dyżury w pogotowiu, czyni to z braku innych możliwości zarobkowania, dorabia się za wszelką cenę!

Najczęściej działalność pogotowia wspierali młodzi adepci sztuki lekarskiej z niewielkim stażem, faktycznie na dorobku, ale zdawali się wśród nich społecznie. Dzisiaj jest ich coraz mniej. Twarda walka o byt skutecznie wyjąławia z humanitarnych uczuć. Znacznie wyższe możliwości zarobkowania są gdzie indziej. Wkrótce atrakcją staną się rejon. Minister Szlachowski proponuje tam spory tzw. dodatek kwotowy, od 4 do 6 tysięcy złotych, ale tylko dla lekarzy; personel średni nie wchodzi w rachubę. Luki w rejonach szybko zapełnią się połowkami, cwiartkami etatów, oczywiście kosztem pomocy doraźnej. Któż wtedy zechce wystawić się na szwank w pedzającej na sygnale karetce, albo pracować tu, na miejscu? Za pacjentami drzwi się nie zamykają. Ambulatorium chirurgiczne przy pogotowiu zamieniło się na typową poradnię rejonową. Zgłaszają się chorzy z urazami sprzed kilku dni.

Dopóki nie nastąpi wyraźna preferencja placowa lekarzy zatrudnionych w pogotowiu, kłopoty z kadrą medyczną będą się stale pogłębiać. Pomoc doraźna w dobie kryzysu jest na najlepszej drodze do zawieszenia działalności. Myślę, że to zwykłe niedopatrzanie Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej, bo chyba na serio nie dąży się do likwidacji tak ważnego pionu!

Sprawa jednak wydaje się dziwna, że nie robi się w kierunku poprawienia działalności stacji pogotowia ratunkowego. Sytuacja jest podobna na terenie całego kraju.

W marcu 1981 roku dyrektorzy dużych stacji pomocy doraźnej z całego Polski wystosowali na ręce ministra zdrowia i opieki społecznej szereg propozycji i wniosków dotyczących usprawnienia modelu organizacyjnego, poprawy kadrowej, zaopatrzenia materiałowo-technicznego. Były to punkty konkretne, przygotowane rzeczowo przez praktyków, a więc nadające się do szybkiej realizacji. Niektóre nawet śmiesznie proste. Np. ujednolicić numery telefoniczne pogotowia w całym kraju. Inny, żenujący, za każdym razem wrapujący w zakłopotanie zespoły pogotowia. Jak żądać opłaty 20-złotowej w momencie, kiedy zabiera się z domu ciężko chorego, który — być może nie wróci? Jak ją wycałować od pijaka, który z drwiną rzucił pieniądze pod nogi, lub pokazać „figę”? Usługa z reguły jest nie opłacana, a korespondencja wlecieże się w nieskończoność i w efekcie koszt jej znacznie przewyższa symboliczną opłatę. Należy więc zrezygnować z tych nieszczyśnych dwudziestu złotych. Natomiast za nie uzasadnione wezwwanie pobierać kwoty w odpowiedniej wysokości.

Owszem, pan minister złożył podziękowanie i przyrzeczenie, że wszystkie wnioski i propozycje zostaną wnikliwie przez resort rozpatrzone i uwzględnione. Na tym grzecznościowym gościu się skończyło. Jak na razie, cisza, nie się nie zmienia w sytuacji pogotowia; jeżeli, to na gorsze.

Łódzka stacja pomocy doraźnej ma

swoje dodatkowe kłopoty. Dotychczasowe władze służby zdrowia i miasta nie pomyślały, że budynek pogotowia był funkcjonalny w latach pięćdziesiątych, gdy ilość świadczeń wynosiła rocznie 50 tysięcy, ale dzisiaj wzrosła do 250 tysięcy, pęka w szwach, nie może wystarczyć dla milionowej aglomeracji. Panuje tu niesamowita ciasnota. Z jej powodu nie założono gabinetu laryngologicznego ani okulisty. Biuro wezwań nie może podjąć natłokowi ludzi i pracy. W wieloosobowych dyżurkach wspólnych dla kobiet i mężczyzn, nie ma co marzyć o głębszym złapaniu oddechu w przerwach między wyjazdami. Zaplecze sanitarne i socjalne takie, że wstyd mówić. Jakość usług w związku z trudnymi warunkami lokalowymi nie może być na światowym poziomie. Jeżeli zdarzy się reanimować chorego w gabinecie internistycznym, jak to zrobić na leżance ciasno ustawionej pod ścianą, którą, aby uzyskać dostęp do pacjenta, ze wszystkich stron, trzeba wynieść na korytarz.

Osiągnięcia Szkoły Ratownictwa, pierwszej w Polsce, są duże. Cóż z tego, gdy w tej chwili nie można nawet wykorzystać drogiego sprzętu, kupionego za dewizy, gdyż szkoła mieści się w jednej, niewielkiej sali.

GDZIE I CZYM?

Dr Krzysztof Wagner, kierownik działu w Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego:

— Nasza zakładowa „Solidarność”, wspólnie z Zarządem Regionu, wystąpiła do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych o przydzielenie pogotowiu budynku po Komendzie Miejskiej MO przy ul. Sienkiewicza. Odpowiedziano nam, że nie wchodzi to absolutnie w rachubę, że milicja w Łodzi przekazała dla służby zdrowia już dwa gmachy, jeden po byłej Komendzie Wojewódzkiej przy ul. Kilińskiego, drugi po Komendzie Dzielnicy Łódź-Śródmieście. I ten właśnie nam otrzymała stacja pogotowia ratunkowego.

Pomijam w tym momencie fakt, że budynek ten jest w kiepskim stanie, pytam, kiedy będzie naprawdę w naszym dyspozycji, milicja nadal funkcjonuje i to w najlepsze. Czyby gra na zwłokę?

Sytuacja łódzkiego pogotowia jest trudna. Kryzys też daje się solidnie we znaki. I nie załatwia sprawy, że dyrektor Wojewódzkiej Kolumny Transportu Sanitarnego, Stawomir Masierek, podstawia najlepsze wozy, jakimi dysponuje. Brakuje walizeczek na leki dla zespołów wyjazdowych, odzież ochronną. Karetki są brudne, nie ma czym myć. Deficyt środków czystości wszędzie.

Zresztą lekarze skarżą się na jakość karettek specjalnych, reanimacyjnych, wypadkowych i kardiologicznych. Nie dostosowana konstrukcja: zawieszenie powinno być miękkie. Jak transportować człowieka z zawałem czy obrzękiem płuc? Kropłówek nie można podać, żyły pękają. Nosze są niefunkcjonalne.

Do spraw podstawowych, nekających stację od lat, dołączyły inne, właściwie naszym czasem. Brakuje leków, tych przeciwbólowych jest stanowczo za mało, inne są „na styk”. Dostawy gipsu niewielkie, w granicach 50 proc., nie ma igieł, strzykawek jednorazowego użytku. A karetka wyjechać musi, chory czeka!

EDWARD BRYL

RYSZARD BINKOWSKI

KOMU W GŁOWIE KRÓLIKI

Co sobota do Eksportowej Rzeźni Królików w Ksawerowie zajeżdża wielki kontener-chłodnia. Odbywa się załadunek i odprawa celna i prywatny kontrahent zabiera świeże tuszki królicze, które po dwóch dniach trafiają na stoły we Włoszech. Natomiast transporty tuszek mrożonych jadą stąd do RFN, Francji i Holandii. Wygrzywamy konkurencję eksportową z wieloma krajami socjalistycznymi, ponieważ nasze króliki, karmione najczęściej paszą naturalną, nie są skażone chemicznie, dają mięso najwyższej jakości.

Roczny plan eksportu ksawerowskiej rzeźni opiewa na 400 ton. Do końca października wyeksportowano 250 ton za 2,5 mln złotych dewizowych. W kraju są 22 ubojnie tego typu. Gdyby każda z nich wysłała na Zachód mięso królicze za 3 mln zł dewizowych, państwo uzyskałoby sporo milionów w twardej walucie.

Zyski byłyby większe, gdyby w pełni wykorzystano wartość użytkową królików, a zwłaszcza odpady, które stanowią 35 proc. żywej wagi. Tymczasem krew, wnętrzności, łapki i uszy wyrzuca się na gnój. A przy dobrych chęciach można by je przerabiać na pasze dla drobiu, lub zwierząt futerkowych, które z kolei przysparzają nowych dewiz. Niewielka część łbów króliczych idzie na eksport, reszta zaś na farmy zwierząt futerkowych, ale tylko w sektorze uspołecznionym, gdzie nie zawsze są w pełni wykorzystane. A prywatni hodowcy żebrać o suchą ochłapę w „Bacutulu”.

Największe jednak znaczenie, poza mięsem, mają skóry królicze. Używa się ich do wyrobu okryć wierzchnich, blamów, czapek i kołnierzy. Sierść ze skórek nie nadających się na futerka, wykorzystywana jest do wyrobu filcu (kapelusze) oraz jako domieszka do tkanin z włókien sztucznych. Skóry — po zdjęciu włosów — nadają się przede wszystkim na doskonałe rękawiczki, a nawet na wierzchy do lekkiego obuwia.

Jak mnie zapewniono w Ksawerowie, skóry z ubojni trafiają do odpowiedniej centrali. Tylko nie wiadomo, co się z nimi dzieje, bo futer króliczych i rękawiczek jakoś u nas nie widać. Wiadomo natomiast, co się dzieje z setkami tysięcy skórek (bo tyle na pewno zabija się poza rzeźniami), które nie trafiają do punktów skupu. Zamieniają się w nawóz naturalny. Po pierwsze dlatego, że w gminach w zasadzie nie skupuje się skórek króliczych. Po drugie zaś, każda skórkę trzeba mizdrować, naciągać na prawidła i suszyć, za co można było uzyskać kilkanaście złotych, bo takie obowiązywały ceny skupu.

Ostatnio ubojnia w Ksawerowie trafiała na prywatnego odbiorcę w Holandii. Ubojnia będzie otrzymywać 50 zł za skórkę a państwo cenne dewizy. Dobrze i to, bo dotąd prywatni przedsiębiorcy z KK na handlu polskimi skórkami zbijali majątki, państwo natomiast zyskiwało niewiele. W Kanadzie, na przykład, elegancki nie chcą futer lisich, bo te pogrubiają sylwetkę. Paradują za te w futerkach króliczych, z polskich skórek, chociaż te są droższe niż lisie.

Zaczęłam od odpadów, bo w dobie kryzysu trzeba czeplić się wszyskie, co może nas trochę podreperować. W czasie okupacji, gdy obowiązywały „świńskie” kontyngenty i kartki, wiele krajów, np. Francja, ratowało się przed głodem mięsem króliczym. U nas nie ma dziś kontyngentów, ale są kartki, i to niskoprydziałowe, toteż lekceważony królik mógłby nie tylko wesprzeć finans państwa, ale też dopełnić nieco żołądki ludzkie.

Niestety, królików jest mało, a mięsa króliczego w sklepach ani na lekarstwo. I to doświadczenie, bo mięso królicze rzeczywiście jest lekarstwem. W ub. roku Rzeźnia Eksportowa zakupiła z rejonu województwa łódzkiego, płockiego, skierniewickiego, piotrkowskiego i sieradzkiego 220 tys. sztuk królików. A mogłaby z powodzeniem przerobić 350 tys. W czerwcu obowiązuje okres ochronny, nie prowadzi się skupu i rzeźnia stoi, przeznaczając czas na remonty, dezynfekcję i konserwację. Ale tak naprawdę to pracuje tylko od sierpnia do lutego. Bo z królikami jest podobnie jak z groszkiem i ogórkiem: następuje wysyp. I ubojnia nie jest w stanie przerobić „surowca”. Natomiast w innych miesiącach trzeba wysłać samochód po 50 królików do województwa... katowickiego. Gdyby w województwach ościennych stworzyć odpowiednią bazę, z której dostawy następowałyby systematycznie, ubojnia mogłaby zagospodarować 400 tys. królików. Dla państwa jest to sprawa niebagatelna. Bo ja! wiem, Niemcy z RFN płać za kg tuszki 7,5 marki. A tak ogólnie, w zależności od kontrahenta, w przeli-

czeniu na złotówki, dostajemy 295 zł za kilogram.

Różnie się tłumaczy niską podaż żywca króliczego. Punkty skupu są w zasadzie przygotowane na przyjęcie królików. GS bierze marżę w wysokości 8 proc., dostaje rekompensatę za transport i ubytki na wadze. Ale jeśli rocznie trafia do skupu 200 królików, to nie opłaca się utrzymywać pracownika, który ma się tym zajmować. Nie ma więc pracownika, nie ma klatek i króliki hasają w magazynie po zbożu, brudząc je odchodami. Agent, zwany też skupiwcą, otrzymuje 4 proc. od tego, za ile skupi żywca. Ale nie opłaca mu się jechać 20 km po pięć królików. Nie ma benzyny. GS wydała jednemu agentowi talony na benzynę, to mu powiedzieli na stacji, żeby uciekał, bo go MO zwinie, gdyż talony wydaje się tylko dla samochodów państwowych.

Duże nadzieje wiano z tzw. fermami półprzemysłowymi, o stadzie podstawowym 350 matek, które rocznie winny dać 7 tys. królicząt. Centrala GS powołała specjalną komórkę i odpowiedzialnego dyrektora, który miał nadzorować i upowszechniać fermę półprzemysłową. Minęło kilka lat i ferm nie ma. Przydzielone materiały i kredyty poszły na inne cele, a pasze dla królików, które istniały na papierze, zjadły kury i świnię. Dobrze i to. Osobiście jestem przeciwny fermom — gigantom. Licencyjne urządzenia kosztują ciężkie miliony, a wyniki hodowli dają mierne. Zwierzęta w ocynkowanych, zimnych klatkach źle się rozmnażają, a potomstwo jest chore i mało odporne. Jeżeli taką wielką fermę dotknie jakaś groźna choroba (nie daj Boże myksomatoza), to tysiące królików idzie na stos, albo do wapnowanego dołu.

Najlepsze są fermy małe. Drewniane klatki niewiele kosztują. Ale najtańsze i najpraktyczniejsze są koczce, w których króliki żyją na głębokiej ściółce. Taka hodowla daje najlepsze wyniki.

Słyszysz się, że zaniziona podaż żywca wynika z tego, że hoduje się u nas rasy amatorskie, mieszańce, skąpościanki. Jest w tym część prawdy. Otóż na Zachodzie i w USA wyhodowano znakomite odmiany mięso-futerkowe, które szybko dają dużo dobrego mięsa i nieźle futerka. Są to m.in. króliki białe duńskie, białe nowozelandzkie i kalifornijskie. Jest ich coraz więcej w Polsce. W okolicy Łodzi znajduje się 7 ferm zarodowych. Mogłoby być więcej, gdyż interes opłaca się, jako że hodowca za 1 kg żywca w klasie wybitnej otrzymuje 220 zł. Oznacza to, że dojrzała samica kosztuje 900 zł. Ale ci, którzy chcieliby się podjąć hodowli królików rzeźnych, mogą nabyć za pośrednictwem GS materiał zarodowy, płacąc tylko 40 proc., i to za dwa gniazda. A jedno gniazdo to trzy samice i samiec.

Nie więc nie powinno stać na przeszkodzie, by hodowla kwitła, zwłaszcza w woj. łódzkim, gdzie mamy ponad 20 tys. drobnych gospodarstw. Tym bardziej, że hodowca o-

trzymuje za 1 kg żywca 110 zł. A więc jedna samica daje w trzech miesiącach przeciętnie 20 królików o wartości 8 tys. zł.

A jednak hodowla wcale nie kwitnie. Królik zjada wszystko oprócz kamienia, żelaza, mięsa i papieru. Wszystkie odpady kuchenne, łącznie z fusami po kawie, a także liście z drzew, również te opadłe jak i gałązki, co jest nawet wskazane w karmieniu. Ale oprócz zieleniny króliki potrzebują też trochę pasz treściwych. GS nie mogą zapewnić pasz hodowcom królików (1 kg paszy za 1 kg żywca), bo brakuje ich dla świń i byków. Jak pamiętam, cena żywca króliczego zawsze była wyższa od świńskiego. Obecnie ceny zostały zrównane. Tymczasem trudno dostępne pasze treściwe strasznie zdrożały. Na rynku kilogram pszenicy kosztuje już 32 zł. Gdyby jednak podwyższono ceny skupu, stanąłby eksport. Po prostu stałby się nieopłacalny.

Sprawa mogłaby załatwić samowystarczalność paszową. Ale na małych działkach nie sposób siać zboża. Można natomiast siać po trochu kukurydzy, bobu i bobiku, łubinu słodkiego, zbierać to ręcznie i śrutować. Króliki zjadają także ziarno słonecznika.

Ale kto ma się tym zająć? Komu w głowie króliki? Usiłowano rozpowszechnić hodowlę w gospodarstwach uspołecznionych i nic z tego nie wyszło. Obecnie PGR, SKR i RSP wybijają na gwałt świnię i byki, bo im się nie opłaca taka hodowla. Duże obory i chlewnie stoją puste. Można by je tanim kosztem przystosować do hodowli królików. Gdyby gospodarstwa uspołecznione otrzymały część dewiz z eksportu, to może by się za to wzięły?

Usłyszałem opinie, że królików jest mało, bo spożywcze tego mięsa jest u nas dotąd nieznanne. No pewnie, najwygodniej było czekać na schaboszczaka za dolary, gdy świnię żarły importowane zboże. Ja bym podwyższył ceny skupu królików i niechby stanął eksport. Wtedy by się okazało, czy ludzie nie chcą jeść królików.

Mięso królicze jest białe, chude i miękkie oraz łatwo strawne. Człowiek wykorzystuje do 90 proc. składników mięsa króliczego, gdy tymczasem z mięsa wołowego tylko 62 proc. Kilogram mięsa króliczego daje 1800 kalorii, co stawia je na równi z cielęciną.

Jestem pewny, że przy ograniczonym eksporcie, pojawiające się w sklepach mięso królicze natychmiast znikłoby z półek. Króliki mogłyby odciałyć rynek mięsny, trafiając, ze względu na wartość dietetyczną, do żłobków, przedszkoli i szpitali. Lekarze bowiem twierdzą, że mięso królicze szczególnie dobrze nadaje się na pokarm dla wszystkich chorych i dla dzieci.

Kryzys mięsny nie skończy się jeszcze za trzy lata. Najwyższa więc pora, aby z powagą zająć się hodowlą królików, które mogą w znacznym stopniu zniwelować dotkliwy brak mięsa na rynku.

Foto: R. Łuczyszyn

Dokończenie ze str. 1

— Jak czuje się człowiek, który ma pierwszy w mieście wladomosci w roku? — pytam red. Andrzeja Beruta.

— Odczuwa ogromną satysfakcję. Nie pamięta, że musiał wstać o piątej rano, że jest zmęczony, spięty, głodny. Cieszy się, że zdobył informacje.

A jego żona dodaje:
— Czasami ma uczucie niedosytu, że tak mało pozostaje mu czasu na refleksję, że nie może się zatrzymać, zastanowić nad tym, co usłyszał, bo już żyje goni nas dalej. Już coś się ważnego wydarzyło. I ten wysięg z czasem wciąga jak hazard. I choć czasami neguję inne formy dziennikarskie, trudno się rozstać z dziennikiem. Przy najmniej Andrzej Berut nie ma na razie co do tego wątpliwości.

Radio informuje szybko i dociera tam, nawet, gdzie diabeł mówi dobranoc. Te zalety radia doceniamy w pełni w sytuacjach niecodziennych, kiedy to dyżurny spiker szuka leków i krwi dla ciężko chorych, zawiadamia o wypadkach, wzywa urlopowiczów w nagłych sprawach do domów. Podczas zimy stulecia Łódzka Rozgłosnia Polskiego Radia zastępowała na przykład zamknięte szkoły. Nauczyciele prowadzili lekcje dla tysięcy uczniów, których śniegi i mroź uwięziły w domach.

RADIO TO WDZIEK, UROK I...

TREMA. — Co za wdziek, lekkość, swoboda. Zdawać by się mogło, że autorzy wielu audycji rozmawiają przed mikrofonem od niechcenia, sami bawiąc się znakomicie. Ten pozorny luz okupiony jest zwykle ciężką pracą i straszną treścią, która paraliżuje nawet najbardziej odważnych na widok mikrofonu.

Redaktor Urszula Mikołajczyk uważa, że to, co w radiu jest najspanialsze i najstraszliwsze zarazem, to tzw. radio na żywo.

— Studio, mikrofon, za szybą technik — opowiada. — Niczego nie da się poprawić, nieczego wyciąć. Nie można sobie pomóc młną ani gestem. Ma się do dyspozycji tylko słowo i musi być ono przynajmniej jako tako sensowne. Nie może człowieka zatknąć, ma mówić płynnie, żeby nie było na antenie ciszy, która przy włączonym mikrofonie jest czymś najstraszliwszym dla radiowca. Nie wolno mieć żadnych ludzkich dolegliwości. Przed audycją „na żywo” rano, już po przedniego dnia, jest się spiętym i niechętnym do czucia. A potem, na kilka minut przed wejściem do studia — strach i trema. Człowiek wycofuje się, ma dziwne rzeczy. Jedni muszą zdejmować buty, żeby ich nie krepowały. Inni — mieć pod ręką tabletki od kaszlu nie po to, broń Boże, aby ich używać, ale tak, na wszelki wypadek, strachem, na ogół potem wszystko idzie gładko. Nie ma ciszy, nie ma czkawki, nikt tego na świecie nie wie.

RADIO TO PRACA CAŁEGO ZESPOŁU.

Efekt pracy radiowca zależy od całego zespołu ludzi. Pomysł rzuca dziennikarz, ale w teren jedzie z nim kierowca, nagranie przygotowuje technik, a potem do pracy włącza się realizator, reżyser i inni.

Tylko wtedy można liczyć na efekt, jeśli dziennikarzowi uda się przekonać ten liczy zespół ludzi, że to jest także ich audycja — twierdzi red. JÓZEF WOJCIECHOWSKI.

Niezbedny jest w zespole szacunek dla pracy koleżanów, bez względu na to, czy ktoś pracuje nad wielkim reportażem, czy nad małą informacją. W zespole radiowym każdy jest ważny — uważa red. ARNOLD BOROWIK, jeden z szefów rozgłosni, związany z radiem od 1948 roku. — Ważne są także i duże umiejętności zawodowe, i wzajemne zaufanie, aby nikt nikogo nie musiał kontrolować, i jeszcze. Człowiek zespółu nie powinien tracić swojej indywidualności. Zawsze powtarzam stażystom, że jeśli pięciu dziennikarzy przygotowuje dziennik radiowy, to powinno powstać pięć różnych dzienników.

RADIO TO FASCYNACJA REPORTAŻEM

— Reportaż, obok słuchowiska, to najbardziej radiowa forma wypowiedzi — mówi red. KRZYSZTOF TUROWSKI. — Reportaż radiowy przechodzi różne koleje losu i przebiera różne formy. Do dziś niedoścignionym wzorem reportażu, robionym na ułicy tylko w oparciu o dźwięki, pozostaje „Jeden dzień w Nowym Jorku”. Wszystkie następne są tylko nadawaniem tego jednego pomysłu. W Polsce tradycyjny reportaż, na przykład reportaż z wypadku, stał się bardzo szybko materiałem dokumentalnym. Zastępuje go coraz częściej tzw. reportaż literacki, pokazujący przeżycia bohaterów, konflikty i głębsze problemy. Reportaż taki musi oddawać nastrój, oddziaływać na wyobraźnię, budować z dźwięków charakterystyczny klimat, który mówi sam za siebie. Na przykład ostatnio rozbitek reportażu o rolnikach. Zdenerwowany rolnik nie mógł zapalić zapalniczki. Suchy trąpek znakomicie oddawał atmosferę niepokoju. Reportaż radiowy wymaga niesłychanie dużo pracy. Wiele godzin nagrania i przesłuchania. Poza tytułem, w reportażu nie powinno paść ani jedno słowo autora. Nie zawsze się to udaje. Nikt też nie jest w stanie zajmować się reportażem na co dzień. Sam nie robię ich więcej, niż 3-4 w ciągu roku.

— Reportaż powoli zanika — ubolewa red. Zbigniew Wojciechowski. — A szkoda. Mógłby mi się skłapy, w których można by słuchać kasy i płyty z nagranymi reportażami i słuchowiskami radiowymi. Głównie fascynacja dźwiękiem, tak, jak byśmy zamienili, że głos idealnie, charakterystycznie człowieka. Chciałbym, na przykład, usłyszeć głos królowej Elżbiety, głosy ludzi znajdujących się wiele metrów pod ziemią i na dużych wysokościach.

Mimo urzeczona dźwiękiem, Zbigniew Wojciechowski uważa, że podstawą dziennikarstwa radiowego jest... pisanie. Pogląd ten, obok twierdzenia, że „sprawozdawca sportowy powinien czytać dużo poezji, gdyż inaczej wpada w nieznośne gadulstwo, to temat częstych, kontrowersyjnych dyskusji red. Wojciechowskiego z kolegami.

RADIO TO WIELKI KONCERT

W ciągu roku wszystkie redakcje muzyczne w kraju nadają aż 8.760 godzin programu muzycznego. Aby go wysłuchać jednym „ciurkiem”, trzeba by poświęcić aż dwa lata. W tym koncercie-gigancie redakcja muzyczna łódzkiej rozgłosni ma swoje stałe miejsce. Wymienię tu tylko takie audycje, jak „Różne tony Polihymni”, „Ciekawe nagrania, ciekawe wydarzenia”, „Przed koncertem w Filharmonii”, „U łódzkich kompozytorów”, „Mój koncert” i znane melomanom całego kraju „Zagadki muzyczne”. Słuchacze audycji muzycznych, to wypróbowani przyjaciele radia. Biorą udział w redagowaniu audycji i żywo reagują na każdą usterkę w nagraniu. Zna ich dobrze redaktorzy i personel techniczny.

Ciekawe, jak na upodobania muzyczne słuchaczy — dzieli się swymi uwagami red. ILONA GRZESIAK — ma wpływ sprzęt. Na przykład posiadacze stereofonicznych magnetofonów proszą o emisję i poszukiwanie utworów sprzed lat, które chciałyby sobie posłuchać na taśmę w lepszych warunkach technicznych. Stąd powrót na antenie radiowej do muzyki nieco już zapomnianej. Radio często lansuje modę muzyczną na wyraźne życzenie słuchaczy. Fonoamatrzy, wiedząc, że ukazali się na przykład nowy, trudno dostępny longplay, telefonują do radia z prośbą o jego nadanie. Radio spełnia ich prośbę, lansuje nowy utwór i w ten sposób koleś się zamyka.

Pisząc o radiowym koncercie, nie można pominąć Orkiestry Radia i Telewizji w Łodzi, którą od 1952 roku kieruje Henryk Debił i je-

dynego w powojennej historii radia zawodowego Zespołu Mandolinistów Edwarda Ciukowskiego. Zespół ten, mimo gorących protestów słuchaczy, rozwiązano w 1971 roku. Żyje jednak dotąd w pamięci miłośników muzyki.

RADIO TO OSOBLIWY TEATR

to cała sztuka, która rządzi się swoimi zasadami. Łódzka Rozgłosnia nie dysponowała nigdy stałym teatrem radiowym. Jeśli mimo to w Łodzi powstało wiele słuchowisk liczących się na ogólnopolskiej antenie, to jest to zasługa ludzi, z reżyser Romanem Mater na czele, którzy po prostu lubią teatr.

Jakie widzi pan różnice w reżyserii słuchowisk na przestrzeni lat? — pytam Romana Mater.

— Słuchowisko też ulega zmianom. Przed laty, wykorzystując właściwości radia, przenosił się na przykład akcje z miejsca na miejsce. Obecnie wracamy do zasad dramatu klasycznego. Zachowujemy jedność czasu, miejsca i akcji. Pokazujemy przeżycia bohaterów. Ich konflikty i rozterki. Obok współczesnego reportażu słuchacze bardzo dobrze odbierają adaptacje literatury klasycznej. Swego czasu przygotowaliśmy dla młodzieży taki cykl słuchowisk. Młodzież wyprost pasjonowała się nim. Założyła klub dyskusyjny. Przed mikrofonem toczyli się ciekawe dyskusje. Szkoda, że trudności finansowe ograniczają obecnie liczbę słuchowisk.

RADIO ZBLIŻA DO KSIĄŻKI

w całym tego słowa znaczeniu. Jerzy Wilmański obliczył, że w ciągu roku redakcja literacka i publicystyki kulturalnej recenzuje na antenie 52 książki. — A więc radio i słowo pisane — podsuwam hasło wywoławcze naszej króciutkiej rozmowy.

Radio to zupełnie inny środek przekazu — mówi Jerzy Wilmański. — Wiersz czy prozę słuchacz odbiera inaczej niż czytelnik. Jednocześnie autorzy zdają sobie sprawę z ułotności radiowego przekazu. Do książki czy do tomiku wierszy można wrócić. Na radiowej audycji znacznie trudniej. A z drugiej

NIE Z ETERU LECZ Z LUDZI

strony (o paradoksy radiowego dzieła — przyp. moją) to właśnie radio, nadając na antenie utwory literackie, może zachęcić do ich czytania. Co więcej, umiejętność podania tekstu przez czytającego aktora wydobyla głębsze treści i zwraca uwagę na zalety języka. Z chęcią więc pełniimy w radiu rolę opiekuna młodych poetów.

Redakcja literacka przygotowuje w ciągu miesiąca 8 godzin programu na lokalnej antenie. Koronna audycja to „Niedzielną porannek literacki”, nadawany w niezbyt dogodnej porze, bo o godz. 8.00 w programie IV, a także „Okoliczności kultury” i liczne audycje publicystyczne.

— Z Rozgłosnią Polskiego Radia związało się na stałe liczne grono łódzkich pisarzy — dodaje WIESŁAW JAZDZYŃSKI — Programy literackie wiążą się z nazwiskami: Wacława Billińskiego, Tadeusza Gieglara, Antoniego Kasprzowicza, Stefana Kubickiego, Józefa Maciejki Kononowicza, Stanisława Kaszyńskiego, Mirosława Kuźnika, Tadeusza Łopalewskiego, Tadeusza Papiera, Mariana Plechala, Igora Sikirskiego, Tadeusza Szwery, Henryka Wiśniewskiego, Marka Wawrzyszewicza, Jerzego Wilmańskiego i innych.

Z ciekawostek radiowych dodam, że w fonotece rozgłosni zachowane są na taśmach głosy prawie wszystkich łódzkich pisarzy i poetów.

RADIO UCZY I WYCHOWUJE

Red. Zbigniew Korzeniowski z redakcji młodzieżowo-oświatowej najpierw rzuca hasło, które zwykle staje się tytułem ogólnopolskich audycji, a potem jedzie w teren i porywa dla sprawy działaczkę harcerskich drużyn. Tak było w przypadku „Kolorowych podwórek” — radiowej akcji, która uczyniła z miejskich podwórek ciekawe miejsce zabaw. Tak było z „Wakacjami na własny rachunek”, które przekroczyły oczekiwania autorów, a tysiące dziecięcych i chłopców spędziło wakacje za pierwsze zarobione w hufcach OHP pieniądze.

A cykl audycji „Z parzenicą na plecaku” który to zachęcił do penetracji kultury ludowej całe harcerskie zastępy.

Spędziłem z moimi słuchaczami nie jeden dzień na Kolbierzowskim szlaku — wspomina red. Z. Korzeniowski. — Z harcerzami z Podlaskia wędrowaliśmy szkolna „bonanza”, ciągniona przez traktor, od wsi do wsi, poznając ludzi i zbierając opowieści o obrzędach ludowych. Podczas tych wędrowek zrodziła się myśl spotkania na antenie radiowej młodych entuzjastów kultury ludowej. Młodzież ze szkół rolniczych w Bieleku Podlaskim i w Wojsławicach spotkała się przy mikrofonie, a następnie już w szkolnym klubie. Mało tego, zorganizowała w Wojsławicach tradycyjne ludowe wesele, włączając do zabawy dorosłych mieszkańców wsi. Podczas rocznych wakacji odsunęliśmy młodzież pomysł opracowania mapy wiatraków, tych gniazdek radiowej budownictwa drewnianego. Po reportażach radiowych okazało się, że można znaleźć na mapie około 300 wiatraków. Mimo zakończenia audycji, do tej pory otrzymuję listy, wskazujące miejsca wiatraków. Czyż może być większa satysfakcja dla radiowego animatora?

RADIO TO POMOC DRUGIM.

Red. Krystyna Tamulewicz przeszła do historii rozgłosni jako ta, która wygrała sprawę pani, nazwijmy ją — Nowakowej.

Jakieś 1-2 lata temu pojawiła się w rozgłosni pani Nowakowa — wspomina Krystyna Tamulewicz. — Była to starsza, słabo widząca pani, która składowała do mnie portier. Otóż pani Nowakowa mieszkala w jednym z tych starych domów przy ul. Główniej, które na jej nieszczęśliwe nieszczęście, otrzymała znacznie gorsze mieszkanie, niż miała dawniej. Wystąpiła więc do sądu i sprawę wygrała. Sąd uznał, że należy jej się mieszkanie o podobnym standardzie jak to, które straciła nie o własnej winie. Ale od wyroku sądu do wykonania droga była długa. Pani Nowakowa wysłała w Radzie Nadzorczej pisał do KC. Bez skutku. Przyszedł dzień dzielenia do rozgłosni i pytała: co będzie z moim mieszkaniem? Skutkiem mieszkania dla pani Nowakowej poznałam wiele mieszkań, nasłuchiłam się przykrych słów od urzędników, a sam naczelnik sugerował, że to widocznie moja kuzynka skoro tak się o nią upomina. Zdenerwowana poszłam do Zespołu Poselskiego. Był tam mój poseł, prof. Jerzy Werner.

Zwymyslił pani, powiedziała, że to pani kuzynka? To bardzo ładnie, że tak powiedziała. Sprawa każdego obywatela powinna być tak załatwiana, jakby to byli nasi najbliżsi. Zapamiętałam dobrze te słowa. Pani Nowakowa, po interwencji posła, dostała mieszkanie. Podobno niedawno znowu była w rozgłosni...

RADIO BAWI.

Kto w Polsce nie zna „Wesołego Autobusu”? Powstał w 1958 roku i od tej pory objeżdżał setki wsi i miasteczek, dając 280 programów rozrywkowych. Jędzili z „Wesołym Autobusem” znani aktorzy, ludowi gawędziarze, piosenkarze i muzycy. Twórcą i pierwszym kierowcą „Autobusu” był Józef Możga. Potem zastąpił go Włodzisław Krzemiński, a w bieżącym roku za kierownicą zasiadł Ziemowit Dziennicki. Długo lata za stronę muzyczną odpowiadał Jan Kazmierczak, a od 8 lat czyni

to Bogdan Pawłowski. Jak ludzie przyjmowali „Wesoły Autobus”, trzeba było zobaczyć w terenie. Red. Tadeusz Szwera pamięta, jak w latach 60 „Autobus” zajeżdżał na Święto Ludowe do Racławic. Deszcz lał jak z cebra, a tu 40 tysięcy chłopów obsiadło Górę Kościuszkę i czekało. Nie było rady. Zespół musiał wystąpić pod parasolami. Innym razem, w Piszcu, widownia obsiadła wielki kolejowy nasyp. Nadszedł pociąg, zagwizdał i nie mógł jechać dalej. Tak to „Wesoły Autobus” zmienił rozkład jazdy.

A cykl łódzkich audycji „Przy sobocie po robocie”, „Program z dywanikiem”, „Kabaret „Babelek” i „Trzecia strona medalu”?

JESZCZE O ZESPOLE

Zespół radiowy liczy w Łodzi sto osób, którym kieruje redaktor naczelny, Wojciech Ekiert. Z dziennikarzy radiowych nie wymieniliśmy dotąd takich znanych nazwisk, jak: Jan Babiński, Maria Hoffmann, Marian Maj, Henryk Polak, Henryk Smolaga, Bogdan Szurgo oraz Michał Bunio, Elżbieta Dobrowolska, Alicja Juszkiewicz, Kalina Jerzykowska, Grażyna Papier, Sławomir Rodacki, Joanna Sikorzanka i Jarosław Warzecha (1).

Z personelu technicznego najwięcej lat poświęcił radiu Stanisław Subczyński, Tadeusz Trojańczyk, Czesław Zajackowski, Ryszard Wachowicz. Radio przyciąga też młodszych, jak Tadeusza Włodarczyka i Karola Szpryngera, którzy pracują w samym sercu rozgłosni, w amplifikatorni. A oto ci, którzy czuwają nad całością emisji: Irena Banaszczyk, Krystyna Blaszczyk, Józef Kowalewski, Zenon Rutkowski.

RADIO TO WOREK KŁOPOTÓW

Na pierwszym miejscu wstąpił mój rozmówca wymieniał kłopoty związane z coraz mniejszą ilością taśm magnetofonowych. Czym dla dziennikarza prasowego papier, tym dla radiowców taśma. Ich brak oznacza koniec pracy. Na razie nie jest jeszcze tak źle, ale coraz mniej taśm z nagranymi audycjami trafia do radiowego archiwum. Później trudno będzie odtworzyć te braki z historii radia lat 80. Daje się w znaki ciasnota. Nowoczesny, w 1937 roku gmach rozgłosni, jest w 1981 r. po prostu za ciasny i za mały. Mnożą się też kłopoty organizacyjne i finansowe. Radiowcy upominają się o rozdzielnię radia od telewizji, co jest uzasadnione odrębnością interesów, zadań i finansów. W niektórych miastach już zdecydowano się na ten krok. O sprawach radia niechaj decydują radiowcy — mówi w rozgłosni i mają rację. Niedostępnym marzeniem rozgłosni lokalnych jest przejście z programu IV do programów ogólnopolskich w całym kraju. Marzenie to niedościgłe, gdyż, jak młodzi mówią, operacja ta nie jest możliwa ze względów technicznych.

RADIO TO TALENT

szczególny rodzaj uzdolnień. — Co kryje się pod tymi słowami?

Red. Zbigniew Wojciechowski, od 27 lat związany z radiem, o którym koledzy mówią, że jest urodzonym radiowcem, uważa, że człowiek obdarzony talentem radiowym po pierwsze — musi mieć coś do powiedzenia, po drugie — umie wyobrazić sobie człowieka po przeciwnej stronie głośnika i nieustannie zadawać sobie pytanie: co robić, aby tamten mnie słuchał. Po trzecie — musi być na tyle dobry zawodowo, że może sobie pozwolić na to, by mówił to, co chce, bez względu na modę. I po czwarte, najważniejsze — musi po prostu czuć radio.

Dla red. Krzysztofa Turowskiego talent nie jest tylko imię. Może przejawiać się na przykład w umiejętności prowadzenia audycji na żywo, wyjątkowej umiejętności znalezienia tematu. Można też mieć talent realizatora, racjonalnego, który z zestawu dźwięków zrobi małe arcydzieło: płynne, rytmiczne, lekkie, w którym nikt nie domyśli się żadnych cięć.

Red. Józef Wojciechowski jest głęboko przekonany, że cała sztuka to umiejętność zachęcania ludzi do rozmowy, do opowiadania, do wyrażenia, tak, aby zapomnieli o mikrofonie. Rozmówca powinien odnieść wrażenie, że dziennikarz żyje tylko po to, aby go słuchać.

— Dlaczego wybrałeś radio, a nie socjologię — pytam red. WŁODZIMIERZA ŁUSZCZYŃKIEWICZA, którego gawędziarski styl i swobodę przed mikrofonem znają słuchacze choćby z „Łatą z radiem”.

— To było jeszcze na III roku studiów — opowiada. — Po zajęciach prof. Jana Szczepańskiego, który to ukazał przed nami perspektywę rozwoju socjologii, wpadł mi w ręce „Express Wieczorny” z następującym ogłoszeniem: „Przedsiębiorstwo Wodno-Kanalizacyjne poszukuje socjologa. Pożądane wykształcenie średnie”. Wtedy to załamana się moja wiara w poszukiwanie socjologii. A tak na serio, to radio wybrałem, gdyż jestem z natury gaduła. Lubie opowiadać i jednocześnie lubię słuchać.

RADIO TO SZMAT ŻYCIA

Pani Irena Kalefowa, która od 36 lat króluje w radiowym archiwum, obliczyła, że na przesłuchanie wszystkich zgromadzonych tam taśm trzeba by poświęcić 202.394 minuty, czyli przeszło 3 tysiące godzin. Kłóć z nas mogłoby sobie na to pozwolić. Dla sympatyków radia mam jednak dobrą nowinę. Już wkrótce mają się ukazać na półkach księgarskich wspomnienia radiowców. Tom pt. „Barwny świat mikrofonu” ukazuje się pod redakcją Tadeusza Szewery, który tak zwraca się do przyszłych czytelników: „Korzystałem tutaj z literatury, informacji kolegów z rozgłosni i własnych notatek. Mimo to mam świadomość, że to gigantyczna lektura może mnie nie osłonić przed surowością krytycznych ocen”.

Przytaczając to wyznanie znakomitego radiowca, proszę o wyrozumiałość dla tych wszystkich, którzy mają odwagę utrwać na papierze to, co można by ustyszczyć w radio.

MAŁGORZATA GOLICKA

Radio nie mogłoby istnieć bez zespołu spikerów, który obecnie tworzą: Jolanta Pawlikowska, Elżbieta Zylis i Grzegorz Wodzisławski. Łódzianie pamiętają jeszcze głosy pierwszych na wojnie spikerów: Jadwigi Cedrowskiej, Igora Sikirskiego i Zdzisława Suwalskiego.

Z KRONIKI ROZGŁOSNI

opracowanej przez red. TADEUSZA SZEWERĘ.

1930 — 2.II, przy ul. Inżynierskiej 14, jako siódma w kraju rozpoczyna pracę Radiowa Stacja Przekaznikowa o mocy 1,65 kW, transmitująca program ogólnopolski na falach średnich w paśmie 233,8 m.

1931 — 1.V, zespół Stacji podejmuje decyzję o nadawaniu własnych audycji lokalnych.

1932 — 10.IV, z inicjatywy red. Jana Piotrowskiego z Warszawy, w auli Państwowej Szkoły Wiośnienniczej, spotyka się 2000 radiosłuchaczy. Zostaje powołana Łódzka Rodzina Radiowa, która przejmie patronat nad 200 niewidomymi dziećmi.

1933 — Pod redakcją M. Szumiełskiego powstaje Referat Sportowy, 1.VII Łódzka Rozgłosnia nadaje audycje „Sport i rekreacja” i pierwszą w kraju „Chwilę gimnastyki dla robotniczych załóg fabryk włókienniczych”.

1935 — Inż. Jarosław Boldok i jego żona, Emilia, komponują sygnał Rozgłosni, który zwyciężył w plebiscycie na najbardziej popularny wśród słuchaczy sygnał rozgłosni radiowej w Polsce, używany do dziś.

1937 — 15.IV, zostaje wmurowany akt erekcyjny pod największy wówczas w Polsce i w Europie gmach przy ul. Narutowicza 130.

1938 — Do Domu Dziecka Łódzkiej Rodziny Radiowej, zbudowanego ze składek społecznych przy ul. Przyzyskole 35 wprowadza się 100 niewidomych dzieci.

1939 — 25.III, z nowo wybudowanej Rozgłosni przy ul. Narutowicza 130 odczytuje sygnał Boldoków i rozpoczyna pracę nowa radiostacja. 6 września Łódź nadaje ostatnią audycję lokalną. Rozgłosnia milknie na sześć lat okupacji.

1945 — Z 18 na 19 stycznia hitlerowcy, wycofując się z Łodzi, zaminowały radiostację. Na 2 godziny przed wkroczeniem do miasta Armii Radzieckiej wysadza ją w powietrze antenę nadawczą i inne urządzenia techniczne. 21 stycznia, w opuszczonej, przywalonej kamienicy przy al. Kościuszkowej 40, niedołężni pracownicy Radia montują amplifikatornię. Już w tym samym dniu, przez głośniki zainstalowane na budynku, popłynęły na ulice pierwsze komunikaty. 25 lutego, na kruchach budynku przy Narutowicza 120, zbiera się 15-osobowy zespół pracowników radia i, wbrew opinii ekspertów, podejmuje decyzję o odbudowie własnymi siłami Rozgłosni i radiostacji. 21 października, w odbudowanym gmachu Rozgłosni Polskiego Radia i Radiostacji rozpoczyna się normalna praca. W tym samym dniu wznowia działalność Łódzka Rodzina Radiowa.

1950 — 1 stycznia Orkiestra p/d Aleksandra Tarskiego, dotychczasowo współpracująca z Rozgłosnią, staje się etatową orkiestrą Rozgłosni. W 1952 roku kierownictwo artystyczne obejmuje Henryk Debił.

1953 — Powstają dwie redakcje audycji rozrywkowych: „Wesoły autobus”, a w dwa lata później „Program z dywanikiem”. Obydwie redakcje przygotowują popularne programy nadawane na antenie ogólnopolskiej.

1963 — 25 marca radiostacja przenosi się z budynku przy ul. Narutowicza 130 do nowego obiektu na Słokach.

1970 — Generalna przebudowa gmachu Rozgłosni i modernizacja urządzeń.

1973 — Przekazanie Rozgłosni nowoczesnych urządzeń elektroakustycznych i emisja stałych programów stereofonicznych na falach ultrakrótkich.

1981 — Jubileusz 50-lecia Rozgłosni.

LAUREACI NAGRÓD KOMITETU

I S RADA I TELEWIZJI

ZA OSIĄGNIĘCIA W DZIEDZINIE TWORCZOŚCI RADIOWEJ I TELEWIZyjNEJ Z ŁÓDZKIEJ ROZGŁOSNI POLSKIEGO RADIA

Rok 1958 — Wacław Billiński
— Marian Jeżewski
— Józef Możga
— Tadeusz Szwera

Rok 1959 — Tadeusz Markowski

Rok 1960 — Bolesław Busiakiewicz

Rok 1962 — Tadeusz Dobrzyński

— Irena Fonkies

— Marian Jeżewski

— Irena Stankiewicz

— Tadeusz Szwera

— Kazimierz Zygmund

Rok 1968 — Henryk Debił

Rok 1975 — Tadeusz Szwera

Rok 1977 — Zbigniew Korzeniowski

Rok 1981 — Arnold Borowik

— Tadeusz Gieglar

— Romana Mater

W pierwszych dniach listopada z wielkiego tournée po Hiszpanii powrócił do kraju orkiestra Filharmonii Łódzkiej. Hiszpańscy melomani gorąco oklaskiwali naszych muzyków. Szczególne uznanie zdobył prowadzący wszystkie koncerty dyrygent Zdzisław Szostak i występujący w naszymi filharmonikami solista-skrzypek Krzysztof Jakowicz.

Do "opowieści nie tylko o tournée" udało mi się, choć z trudem, nakłonić Zdzisława Szostaka. Przetłumaczył skromność dyrektora i wygórowany zatem warunki naszej rozmowy (że tylko w swoim imieniu, że pytania będą jednoznaczne, że żadna ze stron nie będzie stosowała ani uników ani podtekstów, że...) spotkał się na neutralnym gruncie — Kłóła to już zagraniczna podróż naszego zespołu?

— Okazuje się, że na najprostsze pytania najtrudniej jest odpowiedzieć. Nie liczyłem tych podróży. Chyba jedenasta, czy dwunasta. Mówię oczywiście tylko o tych podróżach artystycznych filharmoników łódzkich, które odbywały się w czasie mojej pracy z tym zespołem. Pracuję tu jedenaście już prawie lat...

— ...i wyjeżdżał Pan na wszystkie odbywające się w tych latach tournée?

— Tak się złożyło. Trzeba przy tym powiedzieć, że zupełnie wyjątkowo tym właśnie razem złożyło się tak, że byłem tylko jeden, w myśl z jednej strony narzuconego przez impresarię hiszpańskiego warunków "jeden dyrygent — jeden solista", z drugiej zaś wobec wiążącego Andrzeja Markowskiego, naszego obecnego kierownika artystycznego, wcześniej podpisanego przez niego kontraktu w Holandii. W czasie wszystkich poprzednich wояжy zagranicznych prowadziliśmy koncerty na zmianę, wcześniej z dyrektorem Czyżem, a pół roku temu, w Francji, z dyrektorem Kasprzykiem. Przyjeżdżaliśmy jednak takie warunki podróży i nie uskarżam się na nie, bo nie stwarzały one dodatkowych trudności, wymagały jedynie dwójki dyscypliny i koncentracji. O dyscyplinie zespołu chyba wręcz nie wypada mi mówić, bo nasz zespół także i w tym względzie jest zespołem znakomitym. "Jeden dyrygent i jeden solista" mogą natomiast przysiąc, iż ich koncentracja osiągnęła sto dziesięć procent. Wszyscy mieliśmy świadomość wielkiej odpowiedzialności, to proste. O tym jak cały nasz zespół wywiązał się ze swojego artystycznego i propagandowego zadania, najlepiej zaświadcza recenzje. Rozpiętość ocen wystawionych nam przez hiszpańskich krytyków jest naprawdę niewielką: od bardzo dobrych do celujących. Jednemu tylko recenzentowi nie podobał się fakt, że przyjeżdżaliśmy do Hiszpanii V Symfonię Dymitra Szostakowicza. Nie odnosząc się do wykonania, określił ten wybór mianem "stalinowskiego" i w ten sposób postawił sprawę siebie jedynie zdyskwalifikował w naszych i nie tylko naszych oczach. Podaje ten fakt jedynie gwoli dania świadectwa prawdziwe, bo sama pani rozumie, że naprawdę trudno przywiązywać do tak niemerytorycznego, niartystycznego kryterium jakiegokolwiek znaczenie. Prezentowany przez nas program powszechnie podobał się bardzo. Został on zresztą opracowany na życzenie strony hiszpańskiej, która dokonała sondażu rynku (bo sztuka i muzyka to na Zachodzie taki sam towar rynkowy, jak każdy inny, ponieważ konsument za nią płaci,

a płacić gotowy jest tylko za to czego chce posłuchać), poprosiła nas o I Symfonię c-moll Brahmsa, V Symfonię Szostakowicza, Koncert d-moll Wieniawskiego, Koncert A-dur Mozarta i uwerturę do "Oberona" Webera.

— Ile koncertów odbyli Państwo w czasie tego tournée?

— Występowaliśmy trzynastą raz w czasie siedemnastu dni. Przejechaliśmy całą Hiszpanię. Niejednokrotnie po trwającej cały dzień, uciążliwej podróży autokarem, po krótkiej tylko "rozgrzewce" (bo zasada tego tournée było, iż koncertowaliśmy bez żadnych dodatkowych prób), graliśmy cały nasz koncert, by następnego dnia np. o szóstej rano znów wsiadać do autokarów. Na atrakcje turystyczne nie mieliśmy czasu.

Ale przecież nie po turystyczne wrażenia jechaliśmy do Hiszpanii. Artystycznie zaś

ogół budynki dziewiętnastowieczne, które projektowano z myślą o wygodzie jedynie widza; warunki pracy artysty nie były brane pod uwagę. W bojach z warunkami zaplecza jesteśmy zresztą, jak to się mówi, "zaprawieni". Zaplecze Łódzkiej Filharmonii pozostawia do życzenia tak wiele, że nawet nie sposób o tym mówić. Jak zresztą od lat już postępującym ku upadkowi jej stanie technicznym. Cieszy mnie jednak fakt, że sprawa Filharmonii Łódzkiej jest przedmiotem troski zarówno władz jak i szerokiej rzeszy mieszkańców naszego miasta.

— Wszystkich nas cieszy to ogromnie. Mnie jednak dodatkowo cieszy fakt, że Pan, nie będąc jak wiem "łódzianinem z urodzenia", mówi o Łodzi "nasze miasto".

— Miejsce urodzenia określa nas nader rzadko. Jestem "zagłębiakiem" urodziłem się

NIE TYLKO O TOURNEE...

(mówi ZDZISŁAW SZOSTAK — zastępca kierownika artystycznego Filharmonii Łódzkiej).



Foto: R. Łucyszyn
ZDZISŁAW SZOSTAK: „...wszędzie zostawiamy część swego serca”.

była to podróż niezwykle dla nas udana. Przyjmowano nas z igrasce hiszpańskim temperamentem i chyba zarówno owi placacy (i to dużo) za wstęp na koncerty melomani, jak i pokrywające część kosztów hiszpańskie towarzystwo muzyczne musiały stwierdzić, iż jesteśmy opłacalni „inwestycją” skoro zaproszono nas do złożenia ponownie wizyty w tym kraju w roku 1984.

— Czy stawiając Filharmonikom łódzkim tak wielkie wymagania strona hiszpańska zagwarantowała właściwe warunki koncertowania?

— Graliśmy w salach o bardzo dobrej akustyce (to najważniejsze) i bardzo pięknej na ogół architekturze (to po prostu bardzo przyjemne, stwarzające właściwy klimat i nastrój). Z łałem przyznać jednak muszę, że zaplecze wszystkich tych sal było po prostu złe, musieliśmy stale przypominać sobie, że są to na

w Sosnowcu, ale na Łódź przypadły moje „najlepsze lata”. Mówiąc jeszcze prościej — bardzo związałem się z Łodzią. To stwierdzenie mogą mi mieć za złe poznaniacy, przez trzynaście bowiem lat byłem kierownikiem artystycznym Filharmonii Poznańskiej. Pewnie i Ślązacy wypomnieliby mi co nieco, w Katowicach bowiem ukończyłem Wyższą Szkołę Muzyczną. Prawda zaś jest po prostu taka, że wszędzie zostawiamy część swego serca. Łódź ofiarowałem go najwięcej. Tak jest naprawdę, choć sformułowanie tej prawdy może wydać się nadzbyt literackie, czy „poetyczne”. Przyjechałem tu ciesząc się na współpracę z Henrykiem Czyżem, który podjąwszy decyzję objęcia kierownictwa artystycznego Filharmonii Łódzkiej — o której poproszono go z należytym wyprzedzeniem — poinformował mnie o niej znacznie wcześniej niż oficjalnie wkroczył w łódzkie mury. Mogłem więc przybyć tu półtora sezonu wcześniej i przygotowywać pracę dla nas obydwu. Pracowałem nam się przez wiele lat wspaniale. Podobnie dobrze pracuję mi się z jego następcami. Dobrze czuję się w Łodzi.

— Ma Pan tu wiele obowiązków...

— Obowiązki miewa się wszędzie, jeśli wszędzie gdzie podejmujemy się jakieś prace, staramy się wykonywać ją możliwie najlepiej. To prawda, że tu mam obowiązków więcej niż gdziekolwiek przedtem. Wynika to z funkcji zastępcy kierownika artystycznego. Funkcja ta stała się z szczególnie odpowiedzialną wobec faktu, iż kierownicy artystyczni, jeśli są wybitnymi artystami, często i nierzadko bardzo długo koncertują w innych miastach i krajach. Uważam to za rzecz zupełnie naturalną. Zespoły filharmoniczne cieszą się jeśli kierują nimi wybitne osobowości artystyczne, a wybitne osobowości artystyczne są rozrywane i właśnie fakt ich częstych i dalekich podróży artystycznych (zwłaszcza jeśli wartość tych

podróży udokumentowana jest dobrymi recenzjami) podnosi jeszcze bardziej rangę szefów w oczach zespołów, działa zatem dydaktycznie i inspirująco. Fakt zaś, iż w filharmonii premieri odbywają się co tydzień stawia zespołowi muzyków warunek stałej gotowości i zastępów niejednokrotnie zmusza do podejmowania najtrudniejszych nawet decyzji artystyczno-organizacyjnych. To wszystko jest najzupełniej naturalne i chyba tak właśnie być powinno.

— Chyba?

— Nawet napewno. Można oczywiście rozważać kwestię roli szefa, jako osoby stale nadzorującej artystyczną stronę działalności placówki muzycznej. Ale to nie jest takie oczywiste ani łatwe. Szef, wspólnie z zespołem, planuje repertuar, ale co tydzień inny „reżyser” przygotowuje naszą „premierę”. Za pulpitem dyrygenckim staje w każdym sezonie bardzo wielu dyrygentów i oni poddają zespół coraz to nowym próbom, a o dyrygentów staramy się najlepszych. Młodym dyrygentom przydałaby się zapewne obserwacja pracy mistrzów. Tak my uczyliśmy się tego bardzo trudnego zawodu. Ale też my nie mieliśmy do dyspozycji takich nagrań, jakich teraz słuchając, ucząc się, młodzi, nie mieliśmy tak wspaniałej aparatury, nawet z materiałami nutowymi były znacznie większe kłopoty, choć i teraz wraca do nas ich fala, ale to już zupełnie inna kwestia. W procesie kształcenia zmieniają się metody dydaktyczne i doprawdy trudno mi rozstrzygać o ich skuteczności. Mnie lepsze wydają się tamte, dzięki którym sam opanowałem swój zawód (trudno bowiem nauczyć się techniki dyrygenckiej z najlepszych choćby nagrań). Nowe zaś i większym chyba stopniu kształcą wyobraźnię muzyczną, bo ja nie mając owych nagrań (przecież nawet magnetofon był praktycznie nieosiągalny dla ówczesnych studentów) musiałem długie godziny spędzać nad partyturą i analizować ją tak dokładnie, że praca ta dawała efekt pamięciowego opanowania całego tekstu. Nie próbuję którejkolwiek z metod ani żadnej ze stron przypisywać większej racji. Ona jak zwykle jest gdzieś po środku. A złożył środek znalazłem najtrudniej. Ja sam mam trudność z dokonywaniem jakiegokolwiek wyborów.

— Prowadzi Pan bardzo rozległą działalność artystyczną...

— I nie nie jest najważniejsza, bo wszystko jest jednakowo ważne. Najważniejsza jest jedynie muzyka. Wszystkie moje zajęcia jej właśnie służą. Są tylko różnymi formami mojej dla niej miłości. Uprawiam muzykę dyrygując i komponując, szacunku i miłości dla niej uczę studentów. Zastępuję w działalności artystyczno-organizacyjnej kierowników artystycznych Filharmonii Łódzkiej, gdy są nieobecni, a wszystko to robię po to by muzyce było u nas najlepiej, by nam wszystkim było z nią dobrze w najgorszych nawet czasach. Dbając o nią dbamy o siebie, o czyść i ład naszych wzruszeń.

Rozmawiała: EWA PANKIEWICZ

W społeczeństwie zurbanizowanym i poddanym wpływom kultury masowej zainteresowania amatorskie stanowią margines aktywności kulturalnej. Coraz mniej rodziców zechce dziś dzieci do bezinteresownej nauki; gry na instrumencie, amatorskie malowanie fascynuje raczej ludzi starych, zniknęły prywatne spotkania literackie, poetów nie drukujących traktatów po prostu jako grafomanów, czas wolny ludzi wypoczywających wypełnia prawie bez reszty telewizja, rzadszy sport, kawiarz, dyskoteki, teatr i kino. A przecież mimo tych okoliczności znalazł się w Łodzi kilkusetosobowy gru-

dzien, albo stary i może dlatego popularniejszy od lat jest kabaret. Takie prawidłowości demograficzne są zaskakujące, są ich świadomi wszyscy związani z ruchem amatorskim. Nieco oryginalniejsze są spostrzeżenia dotyczące składu społecznego zespołów amatorskich. Okazuje się, iż teatr i kabaret uprawiają w środowisku wielkomięskim ludzie różnych zawodów i różnego wykształcenia, czasem w tym samym zespole. Prawie połowę aktorów stanowią w Łodzi robotnicy bądź to ze szkołą podstawową, bądź z przygotowaniem zawodowym, przychodzą oni do zespołu teatralnego równie często jak

nasa na rzecz ludzi poszukujących tylko godziwej rozrywki i wypełniania czasu.

Trwałość zespołów amatorskich zmienia się w zależności od gatunku sztuki. Względnie trwałe są zespoły teatralne i taneczne, w pozostałych występuje większa fluktuacja, choć zdarzają się amatorzy malarze lub muzycy, przez dziesięć lat związani z jedną grupą. Personalne odnowienie, wymiana składu zespołu amatorskiego, następuje co 4-5 lat. Pośród ludzi z najdłuższym, ok. 10-letnim stażem w ruchu amatorskim znalezione głównie inteligentów, nauczycieli i emerytów, zwykle po prostu emerytowanych nauczycieli, kontakty robotników z zespołem amatorskim są mniej trwałe.

Pewne światło na motywację uczestnictwa w ruchu amatorskim rzucają sposoby, drogi dotarcia do zespołu. Staje się widoczne iż potrzeby kulturalne, a w szczególności potrzeba aktywności artystycznej są motywacją utajoną w zwykłym czło-wieku. Nawet nie co dziesiąty uczestnik ruchu amatorskiego miał na tyle wyraźną świadomość własnych potrzeb, by samodzielnie podjąć decyzję uprawiania sztuki. Amatorzy zostają artystami najczęściej „dla towarzystwa”, przyjaciele, znajomi muszą swą postawą jak gdyby wcześniej usprawiedliwić tę chęć bezinteresownej twórczości. Związane z tym chęć poszukiwać robotników zainteresowanych sztuką, to jest to możliwe jedynie pod warunkiem trafienia do naturalnych grup i środowisk zawodowych bądź sąsiedzkich. Natomiast w stosunku do inteligentów, studentów, skuteczne okazują się ogłoszenia w prasie; dodajmy, że metodą tą posługują się grupy amatorskie nastawione na osiągnięcie sukcesów w konkursach i przeglądach.

Wyodrębnić można trzy typy motywacji przypisywanych bądź rzeczywiście rządzących amatorami; nazwijmy je motywacją kompensacyjną, towarzyską i instrumentalną.

Jedną z przyczyn aktywności miłośniczej i dyktanckiej są przesłanki ambicjonalne, potrzeba sukcesu, skupienia uwagi na sobie innych, kolegów z pracy, przyjaciół na widowni. Dla osiągnięcia takiego celu można pracować długo i wytrwale jak sportowiec, bywa, że tancerze trenują 3-4 razy w tygodniu po kilka godzin. Instruktorzy myśląc o malarzach amatorach lub o aktorach żadnych sukcesów, przypisują im zwykłe życiowe „kompleksy niespełnienia”. Ale w istocie owa potrzeba motywacyjna może być nie tylko poszukiwaniem przez ludzi kompensaty za przegraną w życiu serio, lecz także

pozytywna, otwarta ekspresja osobowości. Co więcej, można by znaleźć wiele przykładów, gdy początkowa kompensacyjna motywacja w miarę upływu czasu przeradza się w ekspresję, daje radość tworzenia, a nie tylko przewyciężania kompleksu. Być może to właśnie instruktorzy przypisują amatorom przewagę podstaw kompensacyjnych, bo sami tak patrzą na swoją pracę. Wielu instruktorów ma z sobą niepowodzenia i rozczarowania w swej profesjonalnej karierze artystycznej, podczas gdy wielu amatorów przeciwnie, pozostając mniej wiadoymi i krytycznymi wobec własnego warsztatu, nie znajduje w sztuce goryczy i rozczarowania, ich działanie nie jest aktem rezygnacji lecz ufnym sposobem poszukiwania czynnego życia i zwycięstwa.

Drugą, może jeszcze bardziej wpływową od poprzedniej nurt motywacji rządzących zjawiskiem amatorstwa w zespołach amatorskich znajdują i starzy samotni ludzie i młodzież poszukująca atrakcyjnego partnera. Związane młode dziewczęta, którym nie na każdym gruncie wypada zawierać znajomości, cenią sobie tę funkcję zespołu amatorskiego. Regularne spotkania amatorów zaspokajają potrzebę podobną do tej, którą realizuje kawiarnia lub knajpa, ale tutaj rozmowa nie wyczerpuje się na plotce. Niektórzy uczestnicy mają świadomość, iż spotkania w gronie przyjaciół-artystów są najlepszym środkiem przeciw niałości pospolitego życia towarzyskiego, przeciw wciąż podobnym rozmowom o samouchodach, pieniądzu i nowych powiązaniach sentymentalnych naszych znajomych. W rezultacie ze społecznego punktu widzenia również ważną wydaje się ta motywacja, która rządzi młodymi i doprowadziła już do wielu małżeństw zawieranych w grupach amatorskich jak i ta satysfakcja, którą odnajdują tu ludzie starsi najpoważniej, bezwzględnie zagrożeni samotnością.

Opisać trzeba wreszcie charakter motywacji instrumentalnych. Działalność amatorską traktuje się wtedy nie jako cel sam w sobie, lecz jako środek umożliwiający osiągnięcie innego celu. Teatr amatorski, zwłaszcza te bardziej znane w mieście, pełne są ludzi aspirujących do zawodu aktora reżysera i t.d. Teatr poezji przygotował dotąd wielu aktorów, piosenkarzy, do ich przyszłej profesji w sposób niekiedy pełniejszy niż szkoła wyższa, która później ukończyła. Z amatorskich zespołów tanecznych najlepsi odchodzą do operetki, estrady. Do Zespołu Wojska Polskiego do Mazowsza, są także zespoły taneczne, które w praktyce zastępują szkołę

baletową. W tych zespołach zresztą inny motyw instrumentalny stanowi możliwość wyjazdów zagranicznych.

Wszystkie wymienione przyczyny podejmowania aktywności artystycznej były aktualne zawsze odkąd istniało zjawisko amatorstwa. Dziś natomiast pojawiają się w Polsce nowe, i miejmy nadzieję że trwałe, możliwości otwartego kojarzenia twórczości dyktantów z ruchem społecznym.

POJAWIA SIĘ SZANSA

stworzenia ludziom o wyjątkowej wrażliwości i specyficznej konstrukcji osobowej okazji publicznej wypowiedzi obywatelskiej. Twórczość amatorska może dać wyraz opinii ważnym społeczeństwu, tak samo jak bezpośrednie działanie, przy tym zintegrowanym, dosadnym i ekspresywnym.

Amatorstwo jest sferą, w której człowiek zyskuje zindywidualizowany wymiar; jest gatunkiem działań sublimujących, gdzie agresja i nienawiść mogą stać się pierwotnym twórczym, gdzie dobre chęci sprawowane są w świetle obiektywnych kryteriów. Tu jest jeszcze widoczna linia podziału między szustym ba-nałem i racją argumentowaną, tu obyczaj bezceremonialny i arogancka nachalność stają się bezproduktywne. W zespole amatorskim ludzie, którzy stają na skupienie się wyrażają na gwiazdy bez wsparcia utajonej kokieterii. Czy cała ta szkoła życia twórczego ma pozostać dmem tylko dzieci, starych i dewiantów? Jeśli codziennie rozgorączkowane życie spycha na margines twórczość amatorską i środowiska dyktantów-miłośników, to trzeba spytać czy dzieje się tak za naszą zgodą? Szkoła, że nowe sily społeczne w mieście i w kraju, zasoborobowane bez reszty po trzeba chwili, nie kwapią się podjąć roli mecenasa w stosunku do ruchu amatorskiego i do ruchu kulturalnego ogólnie. Edward Abramowski walczył przed laty o czas wolny mógł go poświęcić na dyktanckie dla robotnika głównie po to, by ten kontakty ze sztuką. Jeśli była to utopia, to czy była utopią także myśl, iż rewolucji nie da się dokonać tylko w sferze ekonomii i polityki, że ma ona szansę, gdy robia ją ludzie o nowej moralności. A tylko tacy ludzie potrafią na chwilę zapomnieć o wrogach i skupić się nad dziełem sztuki. Gdyby spór o nowy kształt stosunków w Polsce rozgrywał się tylko w sferze polityki, poza dyskusją pozostałaby znaczna większość ludzi twórczych i aktywnych kulturowo. Artysty amatorzy w nowej sytuacji społecznej wciąż czekają na mecenasów o pluralistycznej orientacji.

BOGUSŁAW SUŁKOWSKI

ARTYŚCI AMATORZY

pę ludzi zachowujących aktywny stosunek do sztuki, choć nie traktujących sztuki jako źródła utrzymywania. Ten fenomen niekonsumpcyjnych postaw życiowych wart jest głębszej analizy.

KIM SĄ LUDZIE

którzy w czasach niepokoju społecznego, w sytuacji uciążliwej codzienności i zagrożenia materialnych podstaw bytu uprawiają sztukę? Przedstawiony w tej kwestii sondaż statystyczny wykonalem na zlecenie Łódzkiego Domu Kultury

Trzecia część uczestników ruchu amatorskiego stanowią dzieci i młodzież. Dorosli ludzie często jak gdyby transmitują własne aspiracje kulturalne i życiowe na dzieci, usługi kulturalne świadczone dzieciom ludzie ci traktują tak samo jak gdyby to były usługi dla nich samych. Inteligent posyła córkę na lekcje angielskiego, robotnika wysyła córkę w niedzielę do kościoła, sami zaś pozostają w domu z lepszym samopoczuciem.

Pośród dorosłych uprawiających aktywność amatorską zauważamy charakterystyczną polaryzację ze względu na wiek; przychodzą do zespołu tylko ludzie bardzo młodzi i zdecydowanie starsi, brak osób w wieku 30 — 55 lat, zwłaszcza mężczyzn. Populacja wieku najobserwniejszego w życiu reprezentowana, w teatrach i kabaretach amatorskich stanowi: za ledwie 7,5 proc. W teatrach 40 proc. stanowią ludzie do lat 30 zaś najliczniejszą grupę stanowią emeryci, lub prawie emeryci. Role silyńskich mężczyzn i dojrzalszych kochanków na łódzkich scenach amatorskich odgrywać muszą z konieczności albo mło-

nauczyciele, studenci, inżynierowie, urzędnicy, ekspedientki. Natomiast domenie inteligencji stanowią zainteresowania plastyczne.

Zauważa się stały proces obniżania wieku ludzi przychodzących do ruchu amatorskiego, zapewne są bar-dziej zasadnicze przyczyny tego zjawiska. Towarzyszące kryzysowi nawiązania pragmatyczne i utylitarne mogą doprowadzić do sytuacji, w której w ruchu amatorskim pozostaną tylko dzieci, panienki przed zamąż-połączeniem, starszyszkowie i dewianci.

POPULACYJNY KRYZYS

tego ruchu nie wywodzi się jednak tylko z zewnętrznych, społecznych okoliczności, ale w jakimś stopniu jest także rezultatem chybotliwej programowej formuły ruchu, która jak gdyby oddziela artystów amatorów od głównego nurtu życia społecznego i politycznego, izoluje ich od najży-wotniejszych problemów obywateli tego kraju. Łatwo to udowodnić analizując repertuar scen amatorskich. Na eskapistyczne propozycje programowe zgadzają się tylko ludzie z natury mniej uwikłani w przemiany życia społecznego. W czasach niepokoju społecznego ruch amatorski mógłby przyciągnąć ludzi dojrzałych i w sile wieku tylko pokazując im szansę wypowiedzi, dyskusji i działań, ingerowania w rzeczywistość przy pomocy kunsztownej, estetycznej form. By amatorski teatr fotografia, nie infantylizowały dorosłego mężczyzn musiałby stać się namiastką ruchu społecznego, gry i walki o wartość, uczestnictwa w życiu nie mogą być wyrazem charytatywnego gestu zinstytucjonalizowanego mece-

ANDRZEJ WIKTOR MIKOŁAJEWSKI

POŻEGNANIE MŁODOŚCI

Minęła młodość
zgasiła
wiatr ją zdmuchnął
jak płomień świecy ledwo nadpalonej
a co zostało samo już skruszeje
i bez tajemnic wielkich się obejdzie
bez tych miłości co miały być piękne
bez tej dobroci która nie ma sensu
i już bez siebie
bo młodość minęła

Teraz jest człowiek jak wszyscy zwyczajni
i w zwykłych sprawach toną jego myśli
Wichry i burze już dawno ustały
Teraz jest człowiek zwyczajny jak wszyscy

I jest mu lepiej
jest już spokojniejszy
Dzień każdy teraz bardziej teraźniejszy
i już nie przyszłość
a przeszłość się liczy

Minęła młodość
To dobrze
Nareszcie
Już teraz życie samo się przemilczy

ODA DO DZWONKA

Dzwon jeżeli zleżo nie przynosisz
Dzwon jeżeli miłość dobrą niesiesz
Dzwon odważnie jeśliś przyjaacielem
Dzwon wesoło gdy jesteś wesoły
Dzwon tragicznie gdy żądasz pomocy
Dzwon gdy jesteś głodny i spragniony

Ale nie dzwoni
Gdy zabrakł chcesz szczęście
I gdy radość chcesz wyrwać z ogniska
Nie ośmielaj się dzwonić gdyś szpiegiem
Utrać ręce nim zbrodni dokonasz
Utrać siebie gdyś innych się wyrzekł
Lecz ja ciebie jak Chrystus tak przyjmę



Wacław Kondak — „Don Kichot XV”. Litografia, 1975 r.

Miałem nadzieję, że wrzesień będzie ładny. U nas mówi się, że wrzesień jest zawsze ładny. Powiedzono, które się dość często sprawdza. Szczególnie w Tatrach jest to na ogół jedyny miesiąc słoneczny w ciągu lata, a raczej są to zwykłe pierwsze dwa tygodnie tego miesiąca. Na wielkiej nizinie zaś różnie bywa. W końcu chmury znad Atlantyku, znad Wysp Azorskich czy znad Morza Północnego mają dość czasu, by zsunąć w dół swoje dżdżyste kurtyny. Zanim dotrą do Karpat idą frontem z zachodu, z północnego zachodu lub z północy na południe.

Nie miałem innych propozycji, nie zdążyłem innych projektów wakacyjnych wprowadzić w życie. Nie wiem zresztą, czy w ogóle miałem jakieś projekty związane z urlopem w lecie. Czas tak szybko biegnie, mam wiele innych zajęć i na wet nie wiadomo kiedy mija pierwsze pół roku, później lato całe, a właściwie owe dwa miesiące lata, w których spodziewamy się, że będzie ciepła, słoneczna pogoda. A więc było to pod koniec sierpnia, kiedy zdecydowałem się wyjechać gdziekolwiek. No właśnie, gdzie więc? Gdziekolwiek. Dziś to już wiadomo: na wielką nizinę, nad rzekę, która nią płynie od Karpat aż do ujścia w morze, tam gdzieś w środku tego kraju, gdzie klimat powinien być kontynentalny, gdzie być może właśnie wrzesień będzie ładny, to znaczy ciepły, a może nawet upalny. To się czasem zdarza, rzadko, ale się zdarza.

Byłem w tym uzdrowisku przed wojną z krewnymi, z bratem matki, moim ojcem chrześniwym. Z Torunia, gdzie mieszkali, jechaliśmy do uzdrowiska niedzielnym pociągami. I tak też pamiętam ten kurort. W rozłożonym ostatnim dniu tygodnia. W niedzielę z wujostwem, z ich małymi dziećmi, którymi opiekowała się młoda dziewczyna, którą zaczęłam podglądać. Nie pamiętam już jej twarzy, bo właściwie niewiele pamiętam z tamtej niedzieli: basen, wierzby plażujące rosnące wokół niego, oddzielające swoimi gęstymi długimi grzywami basen i plażę udającą plażę nadmorską, od wysokich, ciemnych, z chrustu spiętrzonych łąk. Ta dziewczyna dobrze pływała i była wygimnastykowana, umiała zrobić mostek tak głęboki, że wypinała w moją stronę swoją kancistość, przykrytą granatową tkaniną kostiumu kąpielowego. Byłem dla niej o tyle młodszy, że nie musiała się tego wstydić, pewnie w ogóle nie myślała o tym, że kiedy się tak w moją stronę wypina, jest dla mnie wywołaniem cielesnej gorączki, do tego nie znanej inaczej jak w czasie przeżebienia. Dziewczyna opiekująca się małymi dziećmi mojego wujostwa, chciała może tylko pokazać swoją sprawność, jakbym ja miał zaświadczać o jej przydatności fizycznej do pracy z dziećmi, na tyle już dorosłymi, że razem z ciotką miała z nimi dość kłopotu.

Może jednak mój wyjazd do tego kurortu, tak nagle, we wrześniu nie był jedynie spowodowany brakiem wypoczynku czy brakiem inwencji w znalezieniu ciekawszego urlopu. Poprawki trzeba nanieść i do swych marzeń, choć wtedy przestają być już naszymi marzeniami. Więc może nie chodzi o marzenia, ale o pomysł, że tam w kurorcie, dwadzieścia lat temu coś zdarzyło się czego nie

zauważyłem, wtedy jako chłopak głupi, mało dojrzały, albo dojrzały jedynie do podglądania niewiele starszej od siebie dziewczyny w niebieskim kostiumie. (Była szatynką, więc przy ruchu jej gimnastycznych figur rozluźniał się materiał kostiumu kąpielowego i w tych miejscach ukazywała się nie opalona, biała jak twaróg skóra. Na tej białej czarnej włoski były jeszcze czarniejsze.) Skąd ten wyjazd do tego kurortu, tak nagle, we wrześniu, w miesiącu spodziewanego słonecznego, owego „polskiego” września, jako wspomnienia września z 39 roku? Być może, że ten wyjazd nastąpił, bo chciałem wró-

Intuicja. A może potrzeba chwili. Po tylu latach.

Coś dręczy mnie? Nie. Jestem może tylko trochę nadwrażliwy, trochę niespokojny, ale to tak bardzo nie waży, mam jeszcze czas, by dowiedzieć się prawdy. Zanim będziemy sprawdzać wszystko co się zdarzyło, pozwól sobie na chwilę odprężenia. Myśl o spakowaniu rzeczy. Zaberam maszynę do pisania. Mam coś przetłumaczyć, nie ważnego, balladę do sztuki „Graal”, która i tak nie będzie wystawiona. Jest to punkt rozpoczęcia. Tam we wrześniu, po sezonie, jest już spokojnie, można pracować nad żmudnym, a więc nad nudnym tekstem. Sredniówka, rymy, te wszystkie melodie i tych kilkadziesiąt męskich możliwości rymów w naszym języku. I w tym ma się zawrzeć teatr poetycki, liryczne uniesienie w śpiewie, odrobina skupienia jak łut szczęścia na okoliczność magii teatru. Le pień nie myśleć, ale zrobić swoją codzienną porcję linijek, „szlifować” je aż do pewnej doskonałości. (I już po wszystkim: człowiek, który przekazał mi złeczenie teatru, odwołał umowę. Okazało się, że pewien animator życia teatralnego, który miał na „Graala” licencję, nie zgadzał się na to, by kto inny przekładał tekst. Zresztą owe manipulowanie tekstami autora „Graala” weszło mu już w nawyk; w czasach „błędów i wypaczeń” zwalczał autora. Bardzo skutecznie zresztą. Księgowy z teatru zapłacił jednak za robotę. Szkoda tylko, że się tak wysilałem. Mogłem to zrobić byle jak.) Ale to się stało po powrocie, o tym dowiedziałem się po wszystkich i przed wyjazdem byłam nudnej myśli, że swię okropne przekłady usłyszę ze sceny. Może nawet mi je zaśpiewają, myślałem sobie? O Boże, to się może zdarzyć!

BOLESŁAW FAC

„MISJA SPECJALNA”

cię tam, gdzie mnie oczekiwano. Pytanie tylko, czy list był wyznaniem, chęcią wyzalenia się przed kimkolwiek czy też nadawcą jego szukał mojej pomocy.

Miałem mu pomóc? Znałem go zaledwie z widzenia, ale wszyscy, którzy go znali, mówili mi, że jest to wrażliwy młodzieniec, nieźle wykształcony, dość pracowity i trochę zamknięty w sobie. Nie miał zbyt wielu przyjaciół. Jego otoczenie składało się z kolegów, ze znajomych, bliższych i dalszych, ale nie tak bliskich, by mogli być dla niego przyjaciółmi. Nie znalazłem zupełnie jego dziewczyny, kobiet, to jasne. Gdybym go lepiej znał, to może by mi to i owo powiedział o sobie, wyznał, i wtedy kiedyś dowiedziałbym się i o jego sprawkach, nawet o tych, które niechętnie wyznawał, do których nie chciał się przyznać. Ale widocznie jednak byłem mu trochę bliższy niż inni, skoro mnie wyzywał. Przynajmniej takie odniosłem wrażenie. Wzywał mnie: „Daj mi znać, jeżeli będziesz miał do mnie sprawę” — powiedziałem przy pożegnaniu „Owszem”, odpowiedział, „zrobię to, wierz mi.”

Wierzyłem, że to uczyni: choć zwykle na co dzień był zamknięty w sobie, wiedziałem, że w potrzebie, kiedy będzie miał do mnie sprawę, to napisze. Albo zadzwoni i poprosi bym go odwiedzić. Oczywiście, że pojadę, jeżeli tylko będzie mnie potrzebował. Nie wezwie mnie inaczej. Stara się być samodzielną, zręczną we współżyciu z ludźmi, ale przecież nigdy nie wiadomo jak daleko taka rzeczność wystarczy. Zresztą są sprawy niezależne od nas. One to stawiają nam przeszkody, których czasem nie jesteśmy w stanie przeskoczyć. I wtedy wierzymy, że pokonamy je z pomocą innych. Nawet wtedy, jeżeli jesteśmy przekonani, że to nie będzie łatwe.

Nie przysłał listu. Nie telefonował. Nie było od niego depeszy. Nie dał znać o sobie, a jednak pojechałem. Może ten brak wiadomości tak mnie zaniepokoił, że postanowiłem pojechać i rozejrzeć się na miejscu. Instynkt. Głos wewnętrzny.

FELIKS RAJCZAK

Z cyklu: MAŁE PROZY

Z PIÓRA WYMARŁEGO PRAPTAKA

Całe zdania jak wioski ciągnące się pod górą wypowiadałem jednym tchem i byłem mocny i szczęśliwy. Pracowałem nocami nad siedmioma poematami jednocześnie i kładłem się spać przed południem, gdy cień topoli na łąkach okalających mój biały dom wchodził do mnie oknem i przynosił im kropkę wytchnienia.

Nie pamiętam, ile to trwało dni, miesięcy i lat. Nie zostało z tego prawie nic, jeśli niczym jest liść, który został na topoli i na zimowym wietrze drga jak pióro wymarłego prapta. Z bólem serca omijam tamte strony — boję się, że mógłbym dać się skusić nowej trawie na rodzinnej niwie, bym raz jeszcze spróbował powtórzyć to, co unicestwione raz na zawsze poszło na marne.

PORANNE GAWORZENIE

Rwa jak kurwa czepia się mego kolana. Od rana postępuje. Dzisiaj nic nie zrobię dla kultury jako takiej, bo innej nie ma. Poezja jest moją historią. Daj mi, Boże, dużo zdrowia, bym w nadchodzących latach mógł dojrzeć i zrozumieć swoje upadłości. I niech Bóg da zdrowie lekarzom, by mogli mnie wyleczyć... Murzy dzieła i ograniczają oczy i powonienia. — Precz mi z oczu, ty dziewczyno szuj! — zdenerwowałem się nagle i niepotrzebnie na rwe.

Nie mogę popierać tego stowarzyszenia, które mnie degraduje. Z kim mam do czynienia? Ze szczerami ducha...

Wychodzę. Powtarzam w drzwiach dystych, który wczoraj nad rzeką przyszedł mi do głowy.

Komu dać się poprowadzić na spacer? Kilku ślepców wiodło nas ku przepaści — w tym dosłownym i przenośnym znaczeniu. Pamiętam: z wysokości siedmiolatniego chłopca odbierałem wybuchy odległych strzałów armatnich, jak nadzieję i wyzwolenie. Widziałem manekiny zmieniające kostiumy na wietrze. Znałem pewną wicedyrektorkę, która przeżyła wielu dyrektorów, ponieważ przez niemal ćwierćwiecze nie podjęła żadnej decyzji. Nie ma czym się chełpić.

Popatrz — panny brzozy wybiegły na pole. Chciałbym, aby ich trud nie był daremny. Ser-

ce moje przebiega przez czas. Gdyby konie trojańskie rozpleniły się w Ameryce.

Jeśli idzie wojna, pomyśl o tych na cmentarzu, co oni powiedzą i jakiej otuchy nam udzielą. Bratu starszemu mówimy: Kochamy cię, ale nie zjadaj nam wszystkiego z talerza. Walcz ze złem, stary, jesteś młody i odważny. Ludzie naiwni budzą zaufanie.

NOTATKA PRZED SNEM

Ludzie nie mogą cię wiecznie krzywdzić. Zapamiętałeś twarze tych, co to czynili. Ujrzyś je jeszcze o świcie i wskażesz palcem prawu ich zbrodnie. Będziesz już stary i podły. I nie odzyskasz nadziei ani wiary.

To wszystko, co przeboleś, będzie wspomnieniem: nada miarę i wagę twemu istnieniu, jakże ulotnemu i znikliwemu. Ale i ostateczną szansą twojego losu — że nie, przegrasz do reszty, do niczego.

Dopowiadać nie ma potrzeby. Ucz się milczeć. Jest w tym milczeniu twoje arcydzieło. Kto wie, czy nie żywot wieczny. Amen, ot co.

PRZYPOMNIENIE PUSTKOWIA

Nie wróci się już tamten czas i ludzie tam mnie zapomnieli. Wychodziłem ze wsi na pustkowiu, gdzie wolałem spotkać lisa niż sołtysa. Byłem wtedy prawdziwie pogodnym człowiekiem, choć miejscowa inteligencja nazywała mnie odludkiem. Kierowałem się najczęściej na owo wznieśnienie, porośnięte jółkowcami, które często przywoływałem w swojej prozie. Stamtąd spoglądałem na wschód i widziałem wysoką ścianę murów, stojących w przetrzeczystej, słonecznej mgie albo tylko w dymnej zasłonie. Szybko rosnące w górę sosnowe i brzozywe zagajniki skłaniały mnie ku opamiętaniu, żebym rósł też z nimi i rozwijał się, jak przystało na prawdziwego artystę, bo inaczej przerosną mnie i zasłonią mi mój ulubiony widok, moją stronę nadziei i drogę, której nie miałem odwagi przebyć, by dotrzeć do tego miasta na wschodnim krańcu horyzontu. Wywalało mi się nieraz, że wzgórza jółkowe. Jak jakaś tarcza miedziana wyodrębnia się z rozległego krajobrazu i samotnie obraca się w cztery strony świata — i słyszałem szum tego obrotu w przepływach obłoków, w locie jastrzębi i kruków. Stałem tu w chłodnym powiewie marcowego powietrza lub lipcowego upału i

nie mogłem się oderwać od tej piaszczystej ziemi, aż wsiąknę w nią jak kropla żywicy i czarny owoc jółkowa.

DYLEMAT

Nie był zdecydowany, gdzie iść się pochować: czy w mieście, w którym żył i pracował przez wiele lat dojrzałych, czy na wsi, gdzie się urodził. Czasami myślał, że najlepiej byłoby polecić w testamentie, by po śmierci ciało jego spalono a popiół rozsiano na rodzinnych polach. Ale jak przyjdzie to ludzi z jego wsi, czy nie uważaliby tego za dziwactwo, obrazę godności człowieczej?

To go trapiło i nie dawało spokoju. Bo gdyby utopił się gdzieś w dalekim i głębokim morzu, jak mu w dzieciństwie Cyganka wywróżyła, sprawa byłaby załatwiona od razu na wieki.

STARY TRZESZCZ

Syn dorósł i chciał być gospodarzem. — Ojciec, będziecie pisać? Może się namyślić?

— Nie, ja się nie namyślę. Dopóki będę żył, potrzynam gospodarke. Po mojej śmierci sobie weźmiesz...

Nie chciał być parobkiem u ojca i wyjechał na budowę. Stary Trzeszcz harował jeszcze parę lat i wreszcie sprzedał ziemię, pozostawiając tylko krasulę i kasztankę.

— Sprzedaj mi kobyłę, będę miał do parę — zaproponował mu sąsiad.

— A czym bym wozził kobietę — odparł Trzeszcz.

SOŁTYS

— Widzisz, przyjacielu — mówił Jan na Kawałku Ziemi swemu sołtysowi — mam tylko żonę i konia. I nie stać mnie na wóz. Podatek zapłacić, bo tego nauczyli mnie mój uczciwy ojciec, ale nie dam na fundusz gromadzi. Pomogę przy budowie drogi, czasu mam dużo a pieniędzy mało.

I zaprosił sołtysa do stołu. — Zono, podaj kieliszki — zwrócił się łagodnie.

Zona wyjęła z kredensu dwa kieliszki. Soł-

tys spojrział pytająco w oczy Jana na Kawałku Ziemi.

— Zona nie pije — odpowiedział jakby się domyślając o co idzie sołtysowi. — Spodziewamy się dzieciaka.

— Pogoda ładna — powiedział sołtys. — Żyto dojrzewa.

— Już po świętym Wicie... Mam butelkę okowitu.

Nalał w kieliszki i wypili. Sołtys rękawem otarł usta i wasy.

— Będziesz miał ulgę — oznajmił sołtys. — Załatwię w gminie i nawozu i — jeśli chcesz — przydadzą na cegle. Siedzisz w starej budzie. Powoli trzeba myśleć o nowej chatupie.

WIGILIA W BLOKU

W naszym betonowym bloku czekamy pierwszej gwiazdki. Odgłosy rozmów, kroki na schodach — ale w skupieniu i przedświątecznej ciszy.

I naraz, jakby po przekątnej mieszkań i klatek schodowych, gdzieś spod dachu, do mojej izby dobiega melodia harmonii — ktoś gra koledę.

I jakby się zawstydził — ucichł.

ECHO

Za Suchoczasami wjechaliśmy w lasy. Słupki deszczu i zielen była mokra. Pomyślałem, że nie ma sensu wchodzić w gęszcza i szarpać buty i ubranie. Zatrzymaliśmy się na drodze leśnej, nie opodal stawów rybnych. Na tabliczce pisało, że ryb łowić nie wolno. Na przeciwnym brzegu ktoś jednak siedział z wędką. Lustro stawów lekko marszczyły kropki deszczu. A poza tym był spokój i ciepło szło z gęstwiny leśnej.

Mimo wszystko czułem się tutaj bezpieczny. Gdzieś daleko huczało miasto i moi przyjaciele siedzieli w kawiarniach, rozmawiali o sztuce, literaturze i dziewczynach. Spojrzałem w dukt długie pole kwitnących kartofli schodzących pagórem do czystej rzeki opływającej las sosnowy. Słońce na moment wyjrzało z szarej powłoki — jak żółtko z jajka.

Bois się trudu, nie chcesz pisać tej powieści na nasz lokalny konkurs. Tak, tak, proza to praca.

Echo podjęło ten dialog i poniosło go w szadkowskie bory.

Zakończył się w połowie listopada tegoroczny, dziewiąty z kolei, Festiwal Dramaturgii Rosyjskiej i Radzieckiej. Cieszył się olbrzymim zainteresowaniem publiczności, która tradycyjnie towarzyszy mu od lat i sprawia, że miejscowa młodzież studencka, nie dbając o gwarantowane biletami miejsca, korzysta z rozmaitych okazji, by znaleźć się wewnątrz gmachu. Młodzi ludzie są tutaj autentycznymi twórcami atmosfery festiwalowej, oni też w znacznej mierze narzucają oceny gorącymi oklaskami, wstawianiem z miejsc. To prawda, że czasami emocje wynikają z nadmiernej egzaltacji, ale są przecież szczerze i właściwe młodości. Staranny dobór repertuaru spowodował w tym roku, że problematyka spektakli prezentowanych w Katowicach niewiele miała wspólnego ze stereotypowym wyobrażeniem potencjalnego odbiorcy na temat tej dramaturgii. Oszczędzono nam spraw rozgrywających się w kołchozach, halach fabrycznych, podczas sebrań partyjnych, szczęśliwie ominęły nas agitki. Przedstawiano natomiast problemy ludzi z krwi i kości, zmagających się z przeciwnościami różnej natury.

Na sześć prezentowanych podczas tegorocznego festiwalu utworów, zaledwie „Mieszczenie” znani byli z lat ubiegłych. Tak się złożyło, że sztuka Gorkiego, zagrana na Kameralnej Scenie katowickiego teatru przez gospodarzy, była w moim odczuciu najlepszym spektaklem proponowanego zestawu. Umieszczenie na powierzchni kilku metrów kwadratowych dużych, solidnych mebli z potężnym kredensem na czele, wcale nie ułatwiło reżyserce zadania, natomiast aktorom zagrać do tego stopnia przestrzeń, że postanowili poruszać się według własnego uznania, co chyba nie pozostało bez wpływu na fakt, iż ich gra była nacechowana taką wolnością, że trudno mówić tu o zespole. Bieżeńskowemu i Akulina skłaniali się ku naturalizmowi (pan domu zjadał nawet prawdziwe pierogi!). Pierzychin zmierzał jakby podświadomie w stronę ekspresjonizmu, reszta usiłowała utrzymać się w granicach zakreślonych przez realizm, a jedynym problemem, jaki przy bardzo dobrej woli można było odczytać z przedstawienia, jest konflikt pokoleń. Również nieudany pod względem reżyserskim i gry aktorów był poznański „Rewizor” choć naturalnie dużo trudniej jest zniszczyć Gogola niż Gor-

klego. A inscenizatorka z lubością posługiwała się ołówkiem, wychodząc z założenia, że skoro jej pewne partie tekstu nie bawia, ani aktorów nie śmiesza, to z całą pewnością nie wywołają wesołości wśród widzów (nie jest to bynajmniej mój bezpodstawny domysł, lecz streszczenie jednej z wypowiedzi J. Cywińskiej, wygłoszonej podczas publicznej dyskusji po spektaklu). Pozwalam sobie wyrazić skromną nadzieję, że poczucie humoru może być jeszcze zróżnicowane... Dalibóg,

GRAŻYNA KOMPTEL

ŁUNIN, MISTRZ I INNI

spotkanie z publicznością po ostatnim zapadnięciu kurtyny okazało się dla autorki inscenizacji równie cenne, a może nawet cenniejsze, niż napięcie wywołane przez spektakl. W bezpośredniej rozmowie wyjaśniła, iż zamierzała zrobić z „Rewizora” przedstawienie o strachu i nie zależało jej wcale na salwach strzelistego śmiechu widzów, lecz raczej „na takim śmiechu do wewnątrz”. Zważywszy, że jedno z najmocniejszych oskarżeń, jakie wypowiedziano dotychczas w teatrze: „Z czego się śmiejecie? Z samych siebie się śmiejecie!”, przechodzi prawie nie zauważone, a jeśli już dociera do widza, to sprawia wrażenie, jak gdyby pochodziło nie z tej sztuki, można więc uznać, iż oczekiwania reżyserki zostały „dobrze” spełnione.

Przywieziony przez warszawski Teatr Powszechny spektakl „Marii” Izaaka Babla pokazuje tragiczny rozkład rodziny generała Mukowina w obliczu następujących po sobie, wartkich przemian rzeczywistości. Starsza jego córka, tytułowa Maria, bez reszty oddana sprawie rewolucji, opuściwszy dom przysłała ojcowi listy, które ten czyta po wielokroć, młodsza Ludmiła postanawia natomiast związać się z zamożnym kupcem żydowskim, który wprowadzi ją mierz, ale który stanowić będzie wygodny parawan w dniach pełnych napięć i nędzy. Za swą ucieczkę w konformizm zapłaci cenę najwyższą, a domu i tak nie uratuje przed nieuniknioną zagładą. Stary, boleśnie dotknięty Mukowin umrze, a jego

mieszkanie zasiedlą nowi ludzie. Ow pokazany zarówno w dramacie jak i na scenie rozkład jest nie tylko żalostną klęską jednej rodziny, ale również tragiczną wizją końca świata. Dzięki aktorstwu zespołu Teatru Powszechnego widz wychodzi ze spektaklu poruszony, zwłaszcza zaś dzięki Bronisławowi Pawlikowi (Mukowin), Franciszkowi Pieczce (Dymysz), Władysławowi Kowalskiemu (Wiskowski).

Stołeczny Teatr Współczesny,

M. Bułhakowa „Mistrz i Małgorzata”. Autor inscenizacji po raz drugi zmierzył się z dziełem radzieckiego pisarza, przygotowując premierę w plockim Teatrze Dramatycznym im. J. Szańskiego (poprzednie przedstawienie miało miejsce w Wałbrzychu). Spektakl Andrzeja Maril Marczewskiego poprzedziły obawy o kształt adaptacji o to, czy nie zniwieczy ona Bułhakowa. Rzeczywiście wykazała, iż były one przedwczesne. Największymi autami gości z Płocka — obok

Woźniaka. Myślę, że gdyby Marczewski rozporządzał lepszym materiałem aktorskim, satysfakcja widza byłaby znacznie pełniejsza. Pięciogodzinne przedstawienie (trzymając nas cały czas w napięciu) jest opowieścią o Mistrzu, autorze książki o Piłacie i Jezusie Ha-Nocri oraz opowieścią o Małgorzacie, którą siła uczucia pcha ku diabelskiej grupie Wolanda. Talentowi adaptator, scenograf i kompozytor zawiązują obecność w spektaklu nie tylko warstwy realistycznej, ale i szczęśliwe ocalenie metafizyki bułhakowskiego dzieła.

Prawdliwą ozdobą tegorocznego festiwalu była kreacja Zbigniewa Zapasiewicza w sztuce współczesnego dramaturga, Edwarda Radzińskiego „Łunin, czyli śmierć Kubusia Fatalisty”, z którą przyjechał do Katowic warszawski Teatr Dramatyczny. Bohaterem utworu Radzińskiego jest Michał Sergiejewicz Łunin (1787—1945), jeden z najbardziej niezwykłych i zagadkowych ludzi ubiegłego stulecia — jak napisał jego biograf, Natan Ejdel-

man. Radziecki dramaturg umieszcza akcję swego utworu w Akutaju, jednym z najsurowszych więzień carskich na kilka godzin przed śmiercią Łunina. Oczekiwanie na koniec bohatera skraca sobie przywoływaniem refleksji z przeszłości. Przedstawienie warszawskie ma dwa plany: realny, rozgrywający się w celi Łunina oraz wizyjny, umieszczony przez reżysera w różnych częściach sceny, zwłaszcza zaś w jej głębi. Rozbicie miejsca i czasu, zarówno w dramacie jak i teatrze, w pełniejszy sposób ukazuje zmagania w dochodzeniu do prawdy. Wysiłki te podejmuje wielokrotnie tytułowy bohater w licznych monologach. W jednym z nich powiada, „że wolność i swoboda to podstawowe prawa człowieka, bezcenny skarb, i każdy, kto je narusza — jest tyranem i największym przestępcą”. Talentowi i sile aktorskiej ekspresji Zapasiewicz, a także wybornemu przekładowi Grażyny Strumiłło-Milosz i muzyce Jerzego Satanowskiego zawdzięczamy jeden z najpiękniejszych wieczorów katowickiego przeglądu.



Teatr Dramatyczny z Płocka. Michał Bułhakow „Mistrz i Małgorzata”.

Foto: A. Łukawski

Redaktor Jerzy Wawrzak musi nieść w sobie iskrę szlachetnego szaleństwa, skoro w tych niespokojnych, burzliwych czasach przyoblekał mi publicznie — lekko co prawda sprostowany — „nie jedną tylko kołunę dla wspólnych nam teatralnych celów”. Z radością, drogi Jerzy, muszę jedynie lojalnie uprzedzić, iż mój wywód — na odcinki podzielony, nie chciałbym bowiem nazbyt rozpychać się lokciami — ku temu zmierzać ma przede wszystkim, że tak pisać o teatrze, jak piszemy, po prostu nie warto, zaś jak pisać, niestety nie wiem.

Iby wszelako jakoś zacząć zmuszony jestem cofnąć się do bardziej durnej niż chmurnej młodości, kiedy to tak zwane życie w doświadczeniach uosobione udzielało mi pierwszych lekcji recenzentkiego fachu.

Zaczynałem od pisania o książkach, które to teksty w imieniu „Kroniki” (młodsze pokolenie wyjaśniam, że „Kronika” była niejako poprzedniczką dzisiejszych „Odgłosów”) kwalifikował do druku Leszek Budrecki. Uroczy ten potwór schodził ze mną gdzieś na kawę i tam — cały wniebowzięty — czytał recenzję półgłosem, wyraźnie rozkoszując się co zgrabniejszymi zdaniem. Zaczęłam Leszek jakby smutniał, robił się zadowolony, speszony i pytał: — Jureczku, przepraszam bardzo, co ty właściwie chciałeś w tym miejscu powiedzieć?

Odbierałem tekst, zerkałem na zakwestionowany akapit i natychmiast podejmowałem możliwie uczony wywód, że pisarz, nieprawdaż, ma moim zdaniem, niewątpliwie dar obserwacji, niestety... no i tak dalej w tym duchu.

Leszek słuchał, słuchał, znów robił się radośniejszy, na duchu wprost podniecony, wreszcie wykonał cios taski i mówił słodkim głosem: — No dobrze, masz rację, ale dlaczego ty tego wszystkiego nie napisałeś?

Ewo Pankiewicz, miła koleżanko po recenzentim fachu — tu nawracam do naszej polemiki wywoła-

nej „Pamiętnikiem matki” Obidniaka wg. Marcianny Fornalskiej, co niby jest monologiem, a co nie jest — jeżeli nawet replikując ma Pani rację, dlaczego Pani tego wszystkiego w tekście nie napisała? A w ogóle to z czym, czy raczej z kim Pani do mnie, z powszechnie uwielbianą profesorką Skwarczyńską w charakterze wysokiej protektorki? Pro-

WSPOMNIENIA Z MŁODOŚCI

fesor Skwarczyńska jest wspaniałym teoretykiem dramatu, moich hołdów tu nie potrzeba, wszelako nie wszyscy inni teoretycy nie we wszystkim są z nią zgodni, nadto — co zresztą najważniejsze — nie wszyscy czytelnicy „Odgłosów” i nie wszyscy bywalcy teatru mają szczęście mienić się Jej uczniami.

Cóż mają tedy uczynić przodka K., majster K., kierownik K., docent K. (tyle, że docent K. jest — powiedzmy — laryngologiem, zaś na maturze z polskiego z trudem wywalczył czwórce), czy nawet prof. dr hab. K., wybitny specjalista w dziedzinie nadprzewodnictwa? Słyszeli coś o monologu Hamleta, czy o monologach wygłaszanych przez bohaterów naszego romantycznego dramatu, na tym wszelako ich wiedza teoretyczna niemalże się kończy, teatr mimo to lubią, „Odgłosy” czytają i chcieliby dowiedzieć się ze swego pisma, pójsz na to czy inne przedstawienie, czy też nie pójsz.

Może Pani, Ewo droga, odwołać się do każdej teorii, nawet do teorii informacji, dziś zwyczajnie zwanej in-

formatyką, jeżeli jest to Pani do wywodu bądź szczęścia potrzebne, musi być to wszelako sformułowane tak, aby zrozumieli nie tylko koledzy z jednego seminarium, ale wszyscy czytelnicy pisma, które swoich łamów recenzentowi użycza. Karol Irzykowski pisał swoją „IX Muze” w ogóle nie bardzo miał do czego się odwoływać, teoria filmu była bowiem w powijakach, a mimo to wypowiadał się tak prosto i jasno, że jego książka po dziś dzień jest najzupełniej czytelna.

I dlatego gdybym mógł podpisać pakt z diabłem, że czytelnicy zechcą mnie czytać i zechcą mi wierzyć, w zamian wszelako na każdym seminarium teatrolologicznym jak Polska długa i szeroka moje biedne recenzje będą wyśmiewane jako przykład barbarzyńskiego nieucenia, poszedłbym na taki układ bez zmużenia powiek. Niestety, diabeł nie ma, przynajmniej nie ma diabła, który bybył aż tak wielkoduszny...

Z biedą uświadomiwszy sobie, że trzeba próbować zawrzeć w druku wszystko to, co ma się do powiedzenia, bez mętnego odwoływania się do kiedyś tam przeczytanych uczonych książek, których czytelnik być może nie zna i znać nie musi, zaryzykowałem poprzekować i na teatrze. Jedną z pierwszych moich prób była recenzja z „Mazepy” w Teatrze Powszechnym z Alią Racisz w roli Amelii (piszę tak poufale, gdyż po latach z Alicją się zaprzyjaźniłem).

Amelia była trochę przesłodzona, z czym w jakiś czas później aktorka zgodziła się prywatnie, ja wszelako nie zadowolilem się samym zarzutem, udzielałem Raciszównie szeregu światłych rad, jak winna grać tę rolę i jak rozkładać dramatyczne akcenty.

Wkrótce potem w teatrze była konferencja prasowa, pod koniec której dyrektor Chojnacka zapytała: — Przepraszam, czy jest wśród państwa pan Panasewicz?

— Jestem — odpowiedziałem prawie jak w szkole.

— To może pan będzie uprzejmy

po konferencji chwileczkę zostać... Zostałem, co miałem zresztą zrobić. „Dziunia” na chwilę gdzieś poszła, następnie wróciła prowadząc Raciszównę za rękę.

— Aliu, to jest ten pan — powiedziała — który ci wyjaśnił, jak powinnaś Amelię zagrać. Zagraj więc mu parę scenek tak, jak sobie życzył.

Alicja — wiedząc dobrze, że „majstrowa”, bo tak zwano Jadwigę Chojnacką poza plecami, robił ze mnie wariata — natychmiast z dramatyczną przesadą, rodem gdzieś z lady Makbet, zaczęła deklamować jakiś kawałek z „Mazepy”, a ja, co, siedziałem czerwony pewnie jak burak...

A gdy znów zostaliśmy już z Chojnacką sami, ta zrobiła się nagle sympatyczna i taką mniej więcej wygłosiła przemowę: — Gdyby był pan starym piernikiem, w ogóle bym z panem nie padła, ale że jest pan całkiem jeszcze młodym człowiekiem, powiem jedno. Niech pan pisze „ciepło”, „zimno”, „złe”, „dobrze”, choć to za wiele akurat nie znaczy, natomiast niech pan nigdy nie pisze jak aktor ma coś zagrać, bo najgorszy aktor i tak zagra to lepiej od pana...

Potem napisałem parę chłasczących recenzji — to taka choroba debutantów, czasem przewlekła, przez którą każdy przechodzi jak przez koklusz — aż coś mi się wreszcie spodobało, szczerze więc pochwaliłem i sam spektakl i wykonawców.

Przypadek zrzucił, że równolegle robiłem jakiś wywiad z Chojnacką, a ta — trochę zaniebiona — zaprosiła mnie do domu. Tu poczęstowała nalewką, świętą zresztą, po czym wygłosiła kolejną instrukcję.

— Myśli pan — powiedziała — że aktor może się na pana obrazić wtedy tylko, gdy pan go zjedzie, zaś pochwały zawsze uszczęśliwiają. Tak

Zeznania recenzenta (I)

nie jest. Przypuśćmy, iż pisze pan, że Jadwiga Chojnacka w roli Celestyny była genialna. Genialna... genialna... niebyle to konkretne, ale przyjemnie być genialnym, więc zgoda. Trzy zdania dalej pisze pan jednak, że aktorka XY (tu padło nazwisko, lecz nie powtórzę) w roli tej a tej również była genialna. Ona?! Ta noga, której najlepsza rola jest gorsza od mojej najgorszej? Panie drogi, takiej genialności i takich recenzji, to ja w ogóle nie chcę.

Nie chodziło o „Celestynę”, istotnie nzwawianą przez Chojnacką, raczej o zasadę samą. O to, że teatr nie szuka u nas, recenzentów, porad, jak ma co zagrać, nie potrzebuje naszych świątecznych pouczeń, chciałaby natomiast — choć ludzie sceny rzadko się do tego przyznają — abyśmy potwierdzili publicznie wewnętrzna, nie pisaną, a jednak istniejącą w teatrze hierarchię miar i wartości. Daremny to trud narzucać teatrowi własny osąd — nade wszystko w dziedzinie roboty aktorskiej — natomiast jeżeli nasze oceny zbyt często rozmiągają się z ocenami samych aktorów, oni z kolei zaczynają recenzować recenzentów i padają wtedy słowa, których przez przyszłość publiczną w druku nie przytoczę.

Zważywszy wszelako, że cały czas mamy tu dwa rachunki, całkiem odmiennie: recenzent — teatr i recenzent — publiczność. To pierwsze sprzężenie jakoś funkcjonuje, bo nawet najgłupszą recenzję teatr w jakimś stopniu się przejmie, drugie — ważniejsze — w praktyce nie funkcjonuje zupełnie. Wypada więc postawić pytanie dlaczego i poszukać odpowiedzi, ale to już w następnym artykule z tej serii, jeżeli — rzecz zrozumiała — redakcja w ogóle zechce zamieścić pierwszy...

JERZY PANASEWICZ

ODGŁOSY 9

Dalszy ciąg ze str. 1

konany, iż ma zlamaną kość jarzmową i żuchwę, poza tym wstrząśnienie mózgu. Nie mogłem go zatrzymać u nas, bezpieczniej było odesłać go do Zgierza na specjalistyczny oddział. Został przywieziony z Bielaw. Nie, nie wiem, który z lekarzy go przywiózł. Dyżur mieli wtedy dr Wojciechowski i dr Kotecki.

W dyspozycji pogotowia w Łowiczu ustalamy, że w Bielawach był dr Jan Kotecki. Młodszego pediatrę odnajdujemy w osiedlowej przychodni dziecięcej.

— Oczywiście, pamiętam — mówi dr Kotecki. — Takich przypadków się nie zapomina. Zostaliśmy wezwani do Bielaw, do tamtejszej restauracji „Bielawianka”. Kiedy zajechaliśmy na miejsce, a było już wówczas całkiem ciemno, na zapleczu restauracji zobaczyłem radiowóz otoczony grupką ludzi. Na temat samego zajścia niewiele mogę powiedzieć. Weszliśmy do restauracji. Poszkodowany — kierownik restauracji — znajdował się w swoim pokoiku. Podłoga zachlapana krwią, pokrwawione ściany i meble. Głowa rannego owinięta bandażem, nasączonym już krwią. Otaczali go pracownicy restauracji i chyba jacyś znajomi. Była też jego żona. Dowiedziałem się od razu od zebranych, że pacjent został pobity przez funkcjonariuszy MO. W samej restauracji byliśmy bardzo krótko. Stan poszkodowanego nakazywał maksymalny pośpiech, a zatem: po biegu ogledziny, prowizoryczny opatrunek, na nosze i do karetki. Coś mogłem jeszcze powiedzieć? Pacjent był w stanie szoku, ciężkie obrażenia, duży upływ krwi. Zawiozłem go do ambulatorium pogotowia, gdzie chirurg natychmiast zeszył mu ranę.

Co się wydarzyło w czwartek, 26 listopada, w restauracji „Bielawianka”?

Relacjonuje nam Władysław Pietrzak (relacja zarejestrowana 28 listopada 1981 r. — przyp. J.I.).

Obandażowana głowa, zmasakrowana twarz, a do tego głowa pełna napięcia, dramatycznych przerw i potknięć. Szczegóły zajścia opowiadał dotąd tylko własnej żonie. W pamięci spore luki, których nie jest w stanie wypełnić, gdyż nie kontaktował się jeszcze z żadnym ze świadków incydentu.

— W czwartek, gdzieś około godz. 15.30 — opowiada Pietrzak — przybył do mnie, do prowadzonej przeze mnie restauracji oficer ZO MO z Łowicza. Konkretnie: porucznik Golebiowski. I zapowiedział, że przyjdzie do mnie z naczelnikiem gminy Liberski, żebyśmy konieczne na nich zaczęli z pół godziny. Ja natomiast nie chciałem, żeby przyszli do mnie, więc po prostu go przeprosiłem, że muszę jechać do domu, do Soboty, bo potem nie będę miał połączenia autobusowego. Ale on mi zaproponował, że mnie odwiezie samochodem, żebyśmy konieczne zaczęli. Nie miałem innego wyjścia. Gdzieś około 16.30 przyjechali. Porucznik Golebiowski, jeszcze jeden pan — Jagiello, też z milicji. I kierowca milicji, nazwiska dokładnie nie pamiętam, ale chyba Rachubiński. I naczelnik gminy w Bielawach. Poprosili, żeby im przygotować zastawę. Przygotowałem im alkohol i zakaski. Gdzie? Jest taki pokój na zapleczu. Na sali nie, bo to przedstawiciele naszej władzy. No i mnie poprosili też, żeby z nimi usiadł i ja tam z nimi w ogóle, tylko tyle, że byłem stajstą, ale ja naprawdę nie piliem alkoholu, najwyżej wypłem 50 mililitrów. Udałem, że siedzę i piję, ale często wychodziłem... I co się stało? Gdzieś po wypiciu drugiej czy trzeciej butelki, już nie pamiętam dokładnie, zaproponowali mi, żeby sprzedać im skrzynkę alkoholu na wynos. Ja odmówiłem — a proponował mi ten Golebiowski, co poparł też naczelnik. Naczelnik nastawał, żeby konieczne sprzedać. Powiedziałem, po prostu, że nie mogę sprzedać, bo to jest wódka stemplowana przez Gminną Spółdzielnię, na każdej butelce jest pieczęćka gastronomiczna i po prostu mogę o to podpaść. Zresztą, tu idzie o obsługę klienta, sprzedam alkohol, to nie będę miał potem dla konsumenta, na sale, dla ludzi... I wtedy naczelnik się wyraził, że teraz to on ze mną zacznie zagrywkę o ten alkohol. Tak samo porucznik Golebiowski zaczął mi wymawiać i wygrażał. Tak samo ten Jagiello. Plutonowy ten Jagiello był, bo miał trzy belki. Też to samo, że oni się ze mną polizali, ale jakoś wyszedłem od tego towarzystwa. Czulem, że już koniec tej libacji, poszedłem do swojego pokoju.

A potem wszedł do mnie plut. Jagiello i zapytał, czy ja im ostatecznie ten alkohol załatwię, czy nie. Ja poprosiłem bufetową. „Słuchaj, Zosia — mówię — mam taka propozycję, ale to jest trudna sprawa”, a ona też mówi: „Kategorycznie nie można. Kierownik, co ty, przecież to jest wódka stemplowana, nie możemy tego robić”. Wiedziała, dlaczego ja pytam, chciałem za wszelką cenę uniknąć scysji, a żeby też nie było wszystko na mnie. I ona wyszła do klientów, a wtedy Jagiello zaczął mnie bić po twarzy. Dokładnie sobie nie przypominam, co się dalej działo, bo byłem już od ciosów zamroczony. Jagiello wrócił i znów mnie bił. Widziałem też porucznika, który mnie też zaczął bić po twarzy. Byłem już oszołomiony, kiedy ktoś mnie z tyłu uderzył, nie wiem, kto. Nie wiem, nie wiem. Zemdlałem.

Kiedy oprzytomniałem, czulem wielką strugę krwi. Krew rzygała ze mnie, jak z fontanny. Z głowy. Wiedziałem, że dostanę czymś ostrym. Nie wiem, co to było. Leżałem na podłodze, personel był wokół. Weber, Zofia, bufetowa. Dwie panie z kuchni, z obsługi Barbara Zak i Soltyszeńska Mirosława. I byli na zapleczu konsumenci. Pamiętam, że trzymał mnie na rękach Stanisław Topolski z Bielawskiej Wsi, jeden z klientów. On mi krew tamował i krzychał: „Uciśk, uciśk, bo mu krew całkiem odepadła”.

— Czy naczelnik gminy był obecny podczas bójki?

— Tak, on wszedł do mojego pokoju razem z porucznikiem, który mnie bił. I nie udzielił mi żadnej pomocy. A potem zrobiło mi się ciemno.

— Kiedy pan oprzytomniał, sprawców pobicia już nie było? Czy uciekli z restauracji?

— Nie, nie udało im się. Po prostu, personel i konsumenci widzieli, co się stało. Było dużo konsumentów, bo sprzedawaliśmy piwo — po dwie butelki. I oni widzieli i słyszeli, że mnie milicja pobiła. Co się dalej działo nie wiem, byłem półprzytomny, pobity i poranny... — Domyślałem się, że wszystkich tych ludzi

znał pan wcześniej. Bywali u pana w restauracji?

— Skąd ja ich znałem? Kiedy był „Dzień Milicjanta” w tym roku, wezwał mnie szef, prezes GS, i mówił: „Zadzwoń do mnie kochanie z Łowicza i naczelnik Liberski, żeby im zrobić na święto milicji przyjęcie dla tego ZO MO w zamkniętej restauracji”. „Co ja się będę sprzeciwiał — mówię — władza sobie życzy, to polecenie wykonam”. I dostałem też polecenie, żeby im wszystkim po butelce wódki sprzedać. Spełniłem polecenie: przyjęcie było, nasze panie ich obsługiwały, na odchodne po pół litra dostali. Od tego czasu czepiali się mnie nieustannie, co rusz ktoś przyjeżdżał, żeby mu coś załatwić. Ja byłem tym oburzony i nie chciałem im iść na rękę. No i w czwartek odegrali się na mnie...

W cztery dni po incydencie jesteśmy w Bielawach. Jedną z rozmów w Urzędzie Gminy Bielawy. Kazimierz Liberski pracuje tu od 1962 roku — kolejno jako sekretarz i przewodniczący Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej, zaś od reformy administracji jako naczelnik gminy.

Naczelnik zastrzegł się na wstępie:

— Ale ja, panowie, mam bardzo mało czasu. — Długo to nie będzie trwało. Panie naczelniku, co wydarzyło się 26 listopada, w czwartek, po południu w restauracji „Bielawianka”?

— Co się wydarzyło? Ano, trzeba zapytać tych, co wtedy tam byli. — Pytam jednego z tych, którzy tam byli. — No, ja byłem, ale wcześniej wyszedłem. — To znaczy wyszedł pan przed faktem pobicia Pietrzaka? — Ja byłem wtedy w ubikacji, światło zgasiło i wtedy wyszedłem. — Wyszedł pan, kiedy zgasiło światło? — Tak trudno dokładnie powiedzieć, bo tam światło zgasiło raz wcześniej, potem drugi raz się zapaliło. — Z relacji Pietrzaka i innych osób wynika, że był pan świadkiem całego zajścia. — Ja nie byłem świadkiem. — Co więc pan robił w restauracji, na zapleczu? — Nie na zapleczu, tylko w tym pokoiku. — Na jedno wychodzi. — Byłem ze znajomym ze studiów. — Porucznikiem Golebiowskim? — Tak. — I plutonowym Jagiello? — Tak i był jeszcze kierowca. — Kto według pana bił Pietrzaka? — Trudno mi odpowiedzieć. — Składał pan zeznania w prokuraturze, prawdę? Jak wytłumaczył pan to, że nie pan na temat zajścia nie wie? — W takiej formie, że jak się rozstawaliśmy, to on miał uregulować rachunek, a potem jak zobaczyłem, co się dzieje, krew na korystalu, to dyła dalem do chałupy i czesć!

— Podsumujmy: nie widział pan, jak Pietrzaka bito, nie widział pan, kto bił? Może chociaż wie pan, dlaczego został on pobity? — Nie, trudno mi odpowiedzieć. — Wiadomo coś panu na temat propozycji pod adresem kierownika restauracji, aby sprzedać większą ilość wódki na wynos? — Nie mi nie wiadomo. — Proszę pana, z zeznań poszkodowanego i personelu wynika, że propozycja ta padła ze strony porucznika, ale przy pańskiej czynnej aprobacie. — Ja nie mogę Pietrzaka namawiać, ani zmuszać, żeby sprzedawał wódkę. Do podania, ani na wynos.

— Proszę pana, wzburzeni ludzie otoczyli radiowóz... Dlaczego nie pan nie zrobił, aby rozładować napięcie? Dlaczego pan, jako gospodarz terenu, nie interweniował?

— Jak zobaczyłem, jaka jest sytuacja, to dyła dalem, bo przecież nie wypadło, gdzie ja się miałem tutaj... ZO MO było, sprawa pobicia była, ciemno się zrobiło, co ja miałem się tam wtracać, jak ja sam byłem wypity, ja przeproszam... jak ja bym tam poszedł załatwić jakąś sprawę, zjadł obiad, herbatę czy oranżadę wypił, to ja bym wiedział, co zrobić. Ja wiem, że to jest plama, ale co ja miałem zrobić?

— Czy ma pan świadomość, że cała ta historia może oznaczać kres pańskiej kariery?

— Tak, domyślałem się.

I naczelnik rozkłada bezradnie ręce. Rozmowę z Kazimierzem Liberskim poprzedziła — między innymi — relacja bufetowej Zofii Weber, która powiedziała nam:

— 26 listopada 1981 roku po południu przyjechali naczelnik Liberski, porucznik z ZO MO w Łowiczu Golebiowski, plutonowy Jagiello i kierowca Rachubiński. Widziałam jak przechodzili korytarzem. Weszli tutaj, do pokoiku. Przyszła koleżanka i poprosiła, żebyśmy podali pięć piw i pić. Oni siedzieli, koleżanki obsługiwały ich prosto z kuchni, podawały alkohol. Siedzieli. Potem znów koleżanka przyszła, że bym tam podawała. Zapisaliśmy na kartce i miałam ten rachunek. Po jakimś czasie kierownik Pietrzak mnie prosił, żebyśmy poszły z nim do magazynu. Wzięliśmy skrzynkę wódki. Brakowały dwie butelki. Pytam kierownika, dlaczego brakuje, a on, że już wypili. Skrzynki nie zabralam do bufetu, lecz zostawiłam w kuchni, żeby mieli bliżej. Wróciłam do bufetu i sprzedawałam. A ci panowie sobie siedzą i goszczą się. Aha, poprosił mnie ten Jagiello i mówi, że chciałby kupić na wynos wódkę, a ja mówię, że nie sprzedam, bo nie mogę, będzie mi bulelek brakowało. A on się oburzył: „Co, pani tu rządzi, czy kierownik?”, a ja: „Kierownik rządzi, a wódkę nie sprzedam, bo nie mogę”. Kierownik mi też mówił, że chce kupić.

Po jakimś czasie proszą rachunek. Spisaliśmy, co było podane. I zanosłam. Wracam do bufetu i widzę, jak wychodzi pan naczelnik z panem porucznikiem. Mówię do nich: „A rachunek panowie zapłacili?”, a oni: „To kierownik nie zapłacił?”, to ja odpowiadam, że nie, bo i dlatego. To oni weszli, ale za kawalek się wrócili, znów weszli do pokoiku. Ja położyłam ten rachunek. Po jakimś czasie znów mnie prosi kierownik do rachunku. Mówię, że było podane tyle a tyle wódki, na to pan porucznik mi mówi, że trzy butelki, a ja, że nieprawda, bo czterzy. Wyszedłam, poszłam do kierownika, do jego pokoiku i zapytałam: „Panie kierowniku, to ile w końcu było podane tej wódki?”, a kierow-

nik mówi, że cztery. Poprosił mnie od bufetu jeszcze raz. Już leżały dwa banknoty 2000-złotowe. Pan Jagiello powiedział, że bym wzięła. Wzięłam jeden i wróciłam do bufetu, żeby wydać resztę, ale tam nie wróciłam, bo jak szłam, to panie mówią, że jakaś jest sprzeczka.

Nie wchodziłam, bo mnie nie interesowało. Po jakimś czasie widziałam, że z pokoiku wybiega kierownik do siebie. Wróciłam do obsługi klientów. Znowu jakiś czas upłynął, zajrzałam do pokoiku kierownika, a kierownik siedzi pokrwawiony i trzyma chusteczki. Siedzi, nie się nie odzywa, to poszłam sprzedawać dalej do bufetu. Jak poszłam znów na zaplecze, usłyszałam, że coś tomatnego w drzwi kierownika. Stałam, posłuchałam, znów usłyszałam „Jubudu” i krzyk kierownika: „Za co mnie bijecie?”. Stałam jeszcze chwilę, nie wiedziałam, czy się wtrącić. A tu nagle wyleciała z tego pokoju butelka i trzasnęła w ścianę. Wpadłam więc do pokoiku, zobaczyłam co się dzieło i krzyczę: „Panowie, co wy robicie?”. A tam w pokoiku stał z boku naczelnik, kierownik leżał zakrwawiony na podłodze, nad nim pochylony był porucznik, a obok stał ten Jagiello.

którzy ze świadków, a także probierz trzeźwości na posterunku w Bielawach. On też — przypuszczalnie — rozsądkiem i opanowaniem uchronił swoich przełożonych przed linczem, który dosłownie wisiał w powietrzu, kiedy tłumek bielawian otoczył radiowóz, uniemożliwiając funkcjonariuszom ucieczkę z miejsca wypadku.

Plutonowy Jagiello natomiast zaprzecza jakoby on wszczął burdę. Odpowiedzialnością za bójkę usiłuje obarczyć Pietrzaka, przed którego agresywnością bronić musiał — podobno — swojego zefa.

Porucznik Golebiowski z kolei nie był jeszcze przesłuchiwany (stan na 1 grudnia br. — przyp. J.I.), leży bowiem w szpitalu. Z miejsca zajścia nie odjechał wprawdzie karetką pogotowia, jak Pietrzak, teraz jednak jest obłożnie chory. Gdzie leży, z jakim rozpoznaniem? — nie udało nam się ustalić, niesprawdzone zaś informacje nie warto podawać, nawet i z tego powodu, że ich skala jest zadziwiająco rozległa: od siniaka pod okiem — na przykład — do odklejonej siatkówki.

Kto go uderzył (według jednej wersji), kto go przewrócił na ziemię i solidnie skopał (według wersji drugiej) nie udało nam się ustalić. Prokuraturze — z tego, co wiem — jak na razie również nie.

Wzburzone emocje, egipskie ciemności, zbiorowa szamotanina? Niewątpliwie. Zmowa milczenia? Kto wie, może również.

Jedno jest bezsporne: jeśli porucznik odniósł jakies obrażenia, to już poza restauracją, już po fakcie pobicia Pietrzaka, który w tym samym czasie krwawił na podłodze, czekając na pogotowie...

Trafiamy do Prokuratury Rejonowej w Łowiczu. Wiemy już z wcześniejszych rozmów, kto, kiedy, a nawet gdzie — był przesłuchiwany.

W gabinecie, w którym zeznawała Zofia Weber, zastajemy prokurator Violetę Grzeszczak: — Jestem sama na gospodarskim. Działamy w osłabionym składzie. Koledzy w terenie, a szef w Skierniewicach. Materiał zebrany w tej sprawie przez naszą prokuraturę przekazany został do Prokuratury Wojewódzkiej w Skierniewicach. W wolną sobotę, 28 listopada, zostaliśmy wszyscy specjalnie ściągnięci, przesłuchaliśmy kilkunastu świadków w obecności dwóch przedstawicieli KW MO w Skierniewicach. W tej sprawie jednak niewiele mogę powiedzieć: musiele się panowie kontaktować z prokuratorem rejonowym albo najlepiej z Prokuraturą Wojewódzką w Skierniewicach.

Wizyta w Prokuraturze Wojewódzkiej nie miała jednak sensu, gdyż — jak się okazało — szef Prokuratury Rejonowej w Łowiczu przywiózł akta z powrotem.

— Obawiam się, że nie będę mógł panom wiele powiedzieć — zastrzegła się prokurator rejonowy. Sławomir Sobczak, rozpoczynając rozmowę, z której przekazujemy tylko te fragmenty, co do których prokurator nie zastrzegł sobie ich prywatnego charakteru:

— Panie prokuratorze, wyłóż karty na stół. Na temat samej sprawy sporo już wiemy. Mam zarejestrowaną relację samego poszkodowanego. — Ma ją pan? Tutaj? — Nie, nie tutaj, ale mam. Mam też relację świadków zajścia. — Pamięta pan nazwiska? — Tak, pokrętywałam się z tymi, których przesłuchiwałam już w pańskiej prokuraturze. — My mieliśmy dziewiętnastu w tamtą sobotę. — Rozmawialiśmy z wszystkimi lekarzami, którzy mieli do czynienia z tą sprawą. — Żeby zaspokoić panów ciekawość: ja się wybieram do Zgierza bardzo pilnie (rozmowa zarejestrowana 30 listopada 1981 r. — przyp. J.I.). Myślę, że poszkodowany będzie chciał rozmawiać z nami na ten temat, skoro rozmawiał z panami... — Na pewno będzie chciał rozmawiać z prokuratorem. — A jakie ma on obrażenia? Dokładnie. — Wstrząśnienie mózgu z ewidentnymi objawami. Rana cięta głowy. — W którym miejscu? — Po prawej stronie... — Ma podobno jeszcze złamanie żuchwy. — Nie, zostało wykluczone radiologicznie. — Trzeba mu będzie zrobić zdjęcie. — My już zdjęcia mamy. — Wracając jeszcze do Pietrzaka, co panom powiedział? Jeśli możecie mi powiedzieć... — itp.

Rozmowę zamyka prokurator oficjalną już wypowiedzią:

— W sprawie pobicia Władysława Pietrzaka wszczęte zostało przez naszą prokuraturę śledztwo z art. 158, par. 1. W piątek, 27 listopada, przeprowadziliśmy wstępne dochodzenie w Bielawach, zaś w sobotę, 28 listopada, przesłuchaliśmy 19 świadków, w tym 2 funkcjonariuszy MO. Mam załadowane surowy materiał, nie opracowany i niepełny, nie wszystkie świadkowie zostali przesłuchani. Mimo natłoku różnych spraw, ta jest absolutnie priorytetowa, sądzę więc, że śledztwo zamknąć powinniśmy w ciągu miesiąca.

JACEK INDELAK



Foto: Z. W. Nowak

W cztery dni po incydencie jesteśmy w Bielawach. Co się tu wydarzyło w czwartek, 26 listopada...?

Plonące w ciemności świece pracownicy oczyszczają stwardniałe powłoki. Piwno-tytoniowa mgła, indyjskie kadzidła i indyjskie konopie. Noc Walpurgii zatrzymana w pół gestu: nieruchomi słuchacze usiłują uchwycić wibracje rozprzestrzeniające się wokół skromnego podium z nieproporcjonalnie wielkim fortepianem. Nawet nieodłączne christiańskie psy pograżyły się w milczącej medytacji. Sześć założycieli eksperymentalnego ośrodka muzycznego Musikrummet — to Tage Morten, poeta i kompozytor, wsławiony przed laty wielce popularnym duńskim przebojem *Christiana Blues*. Wykonawcą owego koncertu była, nawiasem mówiąc, *Polish Music Family* (czyli siostry Wanda i Matgorzata Cegielkówny, plus piszący te słowa).

Czy łatwiej jest zespółowi „załapać się” samodzielnie na występie w kopenhaskiej Christianii? To zależy od wytrwałości, inwencji i przysłówowego fartu; pewne jest jedno: trzeba regularnie i cierpliwie udzielać się gratis na jam-sessions, odkrywając za każdym razem inną kartę z talii swych możliwości, tak, aby zainteresować programem stałych bywalców i przynajmniej jednego miejscowego managera. Oni i tak ściśle wszyscy ze sobą współpracują bez cienia antagonizmu; gdy tylko rybak raz chwyci haczyk, grupa może liczyć na mini-tournee po takich czolowych christiańskich klubach, jak *Operaen*, *Moonfisher*, czy wspomniany *Musikrummet*. Odbywa się to według dawnego ustalonego schematu: wykonawcy otrzymują do podziału 100 proc. wpływów z opłat za występ (gospodarze ukontentowani są w zupełności dochodami z bufetu), przy czym czas pracy nie zostaje dokładnie określony, ponieważ za właściwym koncercie należy pograć parę godzin do tańca, bądź też pełnić honory grupy wiodącej jam-session.

* * *

Gdy wiosną 1971 roku Siły Zbrojne Królestwa Danii przekazały majątkowi miasta stołecznego 22-hektarowy, lądowo-wodny wycinek łączący właściwą Kopenhagę z wyspą Amager, dilerzy Christianii, nikt nie spodziewał się, iż, zanim zdąży tam wkroczyć buldożer, były koszarzy z przyległościami zostaną metodą kil’udziestogodzinnej blitzu zasiedlone przez tysiączną prawie reszce samowolnych lokatorów. Wolne Miasto Christiania, w którym — niby biblijny lew z barankiem — zgodni koegzystowali ówczesny underground artystyczny i intelektualny z wszelkimi masami marginesem społecznym, uzyskało po długich perypetiach tymczasową legalizację swego statusu quo na zasadach tzw. Eksperymentu Społecznego. Nawet najzaciętsi kibice Christianii nie wróżyli jej wówczas długiego żywota. Ta jednak, na przekór wszelkim przeciwnościom, nie podzieliła tragicznego losu zrównanej z ziemią zachodniomiejsciej Republiki Wendlandu.

I właśnie w roku bieżącym szumnie stawi ona swój dziesięcioletni jubileusz. Nielatwa to była dekada. Już bezpośrednio po wygaśnięciu terminu Eksperymentu Społecznego (1 kwietnia 1976) wyłoniło się klasyczne błędne koło: ministerstwo odmówiło przekazywania kasie miejskiej sum wypłacanych przez mieszkańców ex-wojskowego terytorium za dostarczenie wody i elektryczności, mieszkańcy — w myśl niepisanych zasad ideowych — nie zgodzili się wspierać finansowo funduszy zbrojowych. Z kolei Komuna Stołeczna Miasta Kopenhagi nie mogła pobierać pieniędzy od ciała nie istniejącego de iure bez uznania jego egzystencji.

Złożony węzeł gordyjski rozluźniło tymczasowo otwarcie ślepego konta bankowego, na które Christianiści wnosiłby opłaty za korzystanie z sieci miejskiej. I tak już zostało po dziś dzień: we wszystkich zresztą sprawach widać tu znajomość tymczasowości. Zaistniały od roku 1976 stan zawieszony tej najbardziej autonomicznej kulturowo (mimo, że administracyjnie nie mającej nawet statusu samodzielnej dzielnicy) części Danii trwa bez zmian. *Casus Christiania* raz po raz trafia na forum komisji rządowych, sądów, Rady Miejskiej, ba, nawet Parlamentu, po czym nigdy nie zapadają żadne wiążące decyzje. Tymczasem zaś Christianiści żyją na kraterze wulkanu, ale żyją sobie uwalnie — jak powszechnie mawiają Duńczycy.

Doniosłą rolę w walce o samodzielny byt miasteczka odgrywa załagadający w Radzie Miejskiej jeden z jego obywateli i niepisanych liderów — *Thorikild Weiss Madsen*. Podczas regularnych ratuszowych posiedzeń przedstawia on planom urbanistów miejskich, zakładających wyburzenie całego arealu pod przyszłe osiedle mieszkaniowe, plan opracowany przez sztab współpracujących z nim ekspertów: architektów, prawników i ekologów, zdolnych dowiedzieć niebicie, iż christiański mo-

del zagospodarowania spornego terenu jest wielokrotnie bardziej opłacalny od *municypalnego* nie tylko dla skarbu państwa, ale i bezpośrednio dla kasy miejskiej. Argumenty przemawiające za koncepcją *Thorikilda* sprowadzić można w skrócie do następujących punktów:

— Mieszkańcy budynków ex-wojskowych wnoszą podwójne opłaty za podłączenie do sieci miejskiej, ci zaś, którzy pobudowali się już własnym przemysłem — korzystają prawie wyłącznie z dobrodziejstw słońca, wiatru i wód miejscowego akwenu.

— Christiania zapewnia możliwości przejściowej (a nierzadko stałej) egzystencji licznych rzeszom bezrobotnych, upośledzonych, chorych psychicznie, itp., odciażając w wysokim stopniu budżet opieki społecznej, resortu zdrowia oraz wszelkiego rodzaju kas zapomogowych.

JERZY MICHAŁ BOŻYK

Ludzie Christianii

— Prywatne i spółdzielcze przedsiębiorstwa christiańskie: produkcyjne, handlowe, gastronomiczne i usługowe, mają osobowość prawną, w związku z czym mniej lub bardziej rzetelnie uiszczają podatek dochodowy; te pierwsze ponadto oferują na rynek krajowy szereg znanych i tradycyjnie wysokiej jakości i finezyjnego wykonania wyrobów przemysłowych nigdzie poza Christianią nie produkowanych.

— Działające na terenie miasteczka ugrupowania i organizacje o charakterze artystyczno-twórczym wypracowały z biegiem lat niebagatelny dorobek trwałych wartości, stanowiących poważną część powojennego dziedzictwa kulturowego kraju.

— Co pewien czas Christianiści podejmują szeroko zakrojone akcje społeczne na rzecz pozostałych mieszkańców stolicy; przykładem choćby wyprawiane corocznie dla setek nuboższych Kopenhaganców wieczne wilejnie.

Tyle — argumenty. Forsująca je grupa ekspertów nie podjęła się dzieła swego za darmo: otrzymują oni dotacje z puli Społecznego Funduszu Ochrony Christianii.

Niestety, kontrargumentów dostarcza przeciwnikom Wolnego Miasta samo życie.

* * *

Negatywne zjawiska społeczne, grożące Christianii dezintegracją od wewnątrz, stają się jednocześnie orężem w ręku tych sił zewnętrznych, które dążą do destrukcji miasteczka.

Pierwszą plagą jest masowy napływ nigdzie nie pracujących, bądź ukrywających się kryminalistów, bądź też imigrantów z Grenlandii, krajów Bliskiego Wschodu, paszotypujących na majątku christiańskich komun. Nieszczenie numer dwa to demoralizujący wpływ żadnych niezdrówień sensacji turystów, nie umiających uszanować innej kultury. Już w 1978 roku angielski fotografik i publicysta, *Mark Edwards*, pisał: *Christiania to nie jest cyrk, ani wesołe miasteczko. Tutaj żyją prawdziwi ludzie, z których wielu dla tych czy innych przyczyn nie mogłoby żyć gdzie indziej. Fala turystów pociąga za sobą inny patologiczny objaw — stopniowe skapitalizowanie mikrospołeczności. Handel straszliwie kiczowatym, taśmowo produkowanymi pamiątkami, haszyszem i marihuaną (nierazko fałszywymi) kołskim fajnem, serwowanymi na miejscu z przyborami do palenia i piwem dla lepszego kopa — wszystko to tworzy swoistą oazę potężnego, wykpiwającego się od podatków businessu. Najstarsza, wierzająca jeszcze w szlachetne idee wspólnoty i bezinteresowności generacja beatników komentuje tę komercjalizacyjną tendencję smutnym stwierdzeniem, iż dawna Christiania umiera. Idealisci, twórcy, działacze? Bałwochwalczy kult szmalu i szpanu wypiera ich szybko, niż apokaliptyczny buldożer!*

Mogące jeszcze ewentualnie odwrócić ten lawinowy bieg wydarzeń zdrowe mechanizmy samoobrony społecznej paraliżowane są skutecznie (i z krociowymi zyskami) przez dystrybucję narkotyków. I to nie hasz, hodowany często przez rodzimych plantatorów wyłącznie na własny użytek chodzący mowa o zagrożających społeczność christiańską biologicznym wyniszczeniem twardych środków, jak morfina, heroina, etc. To, że organizuje się wiecie całego niemal stanu osobowego Christianii, protestujące przeciw junk'owi, na których zmobilizowana zostaje nawet wewnętrzna *guardia antijunkowa*, nie zdaje się na nic. Christianiści (nie tylko oni zresztą)

masowo umierają, bądź podlegają kompletnej degradacji psychofizycznej, ku uciesze napieniających swe kiesy *pusherów*. To, że nawet ci Duńczycy, którzy opowiadają się za legalizacją hodowli konopi (istnieje i taki ruch), noszą ostantacyjnie emblematy z przelamaną strzykawką, nie ma żadnego praktycznego znaczenia. Jeżeli już (bardzo rzadko) w jakiegokolwiek christiańskie sprawy angażuje się policja, to zazwyczaj interweniuje ona nie tam gdzie trzeba, i nie w tym kierunku, co trzeba. No cóż — podlega ona władzom stołecznym, którym zbytnio na życiu i zdrowiu swych oficjalnie niebyłych współobywateli nie zależy...

* * *

Nie samym słowem walczy *Thorikild Weiss Madsen* o zachowanie tego przyrównywanego przez licznych

dzaju, kultywowana przez wszystkie lata działalności teatru, koncepcja. Każdorazowo prezentowany przezeń program, czy będzie to sztuka dramatyczna w pojęciu klasycznym, czy gigantycznych rozmiarów działania otwarte, realizowany jest dwutorowo: jako zdarzenie teatralne sensu stricto i jako średnio- lub pełnometradowy film, tworzony na żywo podczas akcji.

Specyficzne poczucie humoru *Nilsa* nam może wydawać się nieco szokujące; spojrzmy oto, jak powstał spektakl pt. *Pięć dni pokoju*.

Pewnego dnia, podczas spotkania Rady NATO w Kopenhadze, w roku 1973, ukazało się w gazetach ogłoszenie o takim mniej więcej brzmieniu: *Zainteresowanych służbą w ochotniczych duńskich oddziałach NATO — w wieku poborowym — prosimy o kontakt telefoniczny pod numerem 216170, zamieszczone przez*

socjologów do samowystarczalnych rycerskich grodów średniowiecza, państwa-miasta. Sedno jego działalności społecznej stanowi organizacja życia teatralno-jazowego tak poza Christianią (agencja koncertowo-studiowa *Musyka i światło*), jak na jej terenie. On właśnie jest bowiem założycielem i dyrektorem christiańskiego Teatru Akcji. Oficjalna kwatery *Thorikilda* to II piętro (a właściwie strych, na którym z powodzeniem można by było grać w futbol) budynku zwanego pompatycznie *Operaen*, byłego magazynu zbożowego. Parter Opery znajduje się w trakcie przebudowy (urządzona tam będzie biblioteka publiczna i teatr dziecięcy), pierwsze piętro zaś, to jeden z najświeższych klubów jazowych Danii, służący zarazem jako sala prób *Aktionsteatret*. Występy teatru nie tam jednakże się odbywają. Scenerią ich zazwyczaj bywają wzniesione rekoma Christianitów feeryjne ruiny zamku, a jeszcze częściej — kopenhaskie ulice, wbrew znieuwadżonemu, godzącemu w prastare tradycje Duńczyków punktowemu artykułu 56 Ustawy o policji (*Uprawnienie prywatnego handlu, jak też uprawianie wszelkiej muzyki, śpiewu i innych występów ulicznych, w rejonie ulic i podwórek — jest zakazane*).

Prawie w każdy wieczór odbywają się w Operze koncerty jazowe z udziałem zaproszonych salistów i zespołów takiej klasy, jak *Jack Dupree* (autor niniejszego artykułu sam miał zaszczyt jamować od rana z towarzyszącym temuż *combem*), czy też — parę lat temu — nasz *Ośjan*.

Pomiedzy występami gości królują tu trzy kameralne grupy — *Urte*, *Semajorash* i *Anatolia*, prowadzone przez jednego z tego samego bandleadera — saksofonistę i kompozytora *Mortena Carlessena*, również obywatela Christianii. *Morten Carlessen*, zapalenie o niespożytej energii twórczej, nagrywa swe błyskotliwe improwizacje z nowymi zespołami, traktując jednocześnie trzy własne jako swego rodzaju poletka doświadczalne, na których eksperymentuje miazę pierwiastka jazowego z rodzimym folklorem imigrantów z Jugosławii, Meksyku i Turcji. Jego muzyka stanowi ponadto bazę dla tzw. *wholistycznej szkoły... ekspresji ciała*, lansowanej przez Amerykankę, *Kamili Nilatę*. Podczas oficjalnych duńskich festiwali teatralnych, deski Opery stają się miejscem organizowanych na zasadach filii manifestacji kabaretów i teatrów małych form, takich jak *rock-cabaret (cabaret)*, *Allana Finberga Rascha* — *Braenende Kaerlinged*, komuny teatralnej *Sans og Semling*, bluesowoepetyckich programów *Paul Banksa*, czy duetu *Se-Dur* (cytat z ulotki reklamowej tych ostatnich: „w repertuarze — *Ravel, Albinoni i Stalin*”).

* * *

Gdyby szare mury służącej onegdaj potrzebom sprzętu bojowego świątyni awangardowej Melpomeny — *Grey Hall* — potrafiły mówić, nie jedno opowiedziałyby nam o swych znamienitych gościach: pantominie *Tryumf Śmierci*, kopenhaskim kontynuatorze idei *Grotowskiego* — *Bil-lestolater* czy naszej *Akademii Ruchu*; najwięcej jednak miałyby do powiedzenia o nieoficjalnych (nb. kających w większości poza Christianią) jej gospodarzach — teatrze *Solvognen*.

Stołeczny Wóz założony został na początku lat 70 przez reżyseria filmowego *Nilsa Vesta* i jego małżonkę, aktorkę *Brittę Lilję*. Wkrótce siedząca nowo powstałej trupy stała się christiańska *Szara Hala*. Zaczęła się niebawem jedyną w swoim ro-

teatr *Solvognen*. Po zamknięciu listy zgłoszonych wolontariuszy (z wywiadów prasowych wynikało, iż większość kandydatów potraktowała całą sprawę najzupełniej serio) nastąpiła selekcja przy użyciu normalnej komisji lekarskiej, testów sprawnościowych, itp. Ci, którzy odpowiadali wszelkim warunkom, otrzymali mundury ze specjalnymi emblematami (zamówione uprzednio przez teatr w magazynie z ciuchami), po czym odkomenderowani zostali na zbiórki przed Ratuszem. I właśnie od tego gant, polegający z grubsza na totalnym rozpoczęciu się happening-gimn robieniu w koniu niczego nie domyślających się wojaków-amatorów i niczego z całej sprawy nie pojmujących spokojnych mieszkańców stolicy. Wciągnięte zostały w to wszystko mass-media, władze miejskie, policja, ba, podobno i dwór monarszy. Dochodziło do takich epizodów, jak zatrzymywanie autentycznych żandarmów wojskowych przez zdeorientowaną policję cywilną; oczywiście cała zabawa zakończyła się planowanym happy-endem i... nadzwyczaj udanym filmem.

Kiedy indziej znów pomiędzy ćwiczącymi na zachodnio-zelandzkim poligonie machinami bojowymi pojawiły się tajemnicze, UFO-nautów przypominające, *antiohy* (program pt. *Abstrak-Express*). Filmy *Vesta* można wynajmować za pośrednictwem organizacji *Statens Filmcentral* i *Dansk Filmcentrum* (obydwie — z siedzibą w Kopenhadze).

* * *

Nie ma miejsca na nudną barbarzość w miasteczku, którego już sam standard przedstawia trzy jaskrawożółte okregi na ognistoczerwonym tle, symbolizujące trzy kropki nawiązanych, acz szczerze psychodelicznych polichromii budynków, drewnianych totемов, galerii rzeźby pod gołym niebem, po zupełnie już dojrzałe wystawy fotografii artystycznej. Do domeny sztuk pięknych należy również bez wątpienia zaliczyć ważne pozycje eksportu Wolnego Miasta: wyroby ceramiczne, szklarskie, bogate rzeźbne ilustrowane publikacje miejscowej poligrafii.

W pełnym szoku prezentuje się miazę *Konstrukcji z Ekspresją* w architekturze christiańskich wnętrz; przede wszystkim jednak — w formie, wyb rze budulca i technologii budowanej amatorskim sposobem wznoszonych budowli, *surrealistycznych willi nad Voldgraven* i przemysłowych adaptacji wozów mieszkalnych.

Do sieci miejskiej, jak już było wspomniane, budynki owe dostępu nie mają. Stąd destylacja morskiej wody oraz ogrzewanie i oświetlenie mieszkań przy pomocy akumulowanej energii słonecznej czy elektrycznej, uzyskanej w generatorach napędzanych siłą wiatru. Śmiało rozważania techniczne niejednemu może śmieszać, przywołując na pamięć patenty *Robinsona Cruzo*, dla wielu jednak przedstawiają zdrowe źródło inspiracji technologicznej, tak potrzebnej w dobie masowej dewastacji środowiska. Sprawy ekologiczne w ogóle traktowane są na Christianii wyjątkowo pryncypialnie — na całym terenie np. obowiązuje bezwzględny zakaz używania silników spalających. Podstawową panującą tendencją jest podporządkowywanie sobie siły przyrody w stanie czystym.

Symbolem christiańskiego przemysłu jest rower. Spółdzielcze zakłady ślusarskie dostarczają na rynek różnicowany asortyment wyrobów metalowych, przede wszystkim jednak wyspecjalizowały się w kontynuacji najstarszej tradycji pomal-

ginącego, niemniej wielce pożytecznego, zwłaszcza tam, gdzie coraz trudniej o materiały pędne — rzemiosła bicyklowe. Światowy unikat stanowią takie wyroby tego najpoważniej zasilającego dochód narodowy christiańskiego przedsiębiorstwa, jak artystycznie wykonane rowery z podwyższoną ramą wg XIX-wiecznego patentu *Dursley-Pedersen* (produkują się ich około stu rocznie; cena niewiele przewyższa koszt dobrego roweru standardowego), czy też dwu- (nie trójkołowe) (!) ryksze dostawcze *Long John*. Firma prowadzi jednocześnie punkt naprawy sprzętu kolarskiego, zbierane zaś z wysypisk miejskich, a nawet z dna kanałów wraki przerabia się tutaj na pełnosprawnie rowery, tandemy, wózki transportowe, jednokołowe cirkowe, etc. Co prawda złośliwie języki przebąkują o tym, że i nie jeden dobry, lecz źle zabezpieczony *velocyped* posłużył christiańskim majstrom za surowiec, jednak żadne oficjalne źródła zarzutów takich nie potwierdzają.

Mimo, iż ślusarnia odrzuca ogólną, zdepersonalizowany system produkcji taśmowej na rzecz o wiele trudniejszego wykonywania swych wyrobów pojedynczo, sztuka po sztuce, przedstawia ona wzorowo zorganizowaną jednostkę gospodarczą, w każdej chwili przygotowaną na inspekcję organów podatkowych, księgowości, stała, uregulowana umowami pensja tygodniowa pracowników-współwłaścicieli zakładu, wreszcie świadczenia socjalne na rzecz tychże — wszystko to sugerowałoby według naszych pojęć wysoce wyspecjalizowaną kadrę administracyjną. Nic z tych rzeczy; dziesięcioosobowa załoga nie korzysta nawet z pomocy jednej sekretarki. Wszelkich operacji dokonują sami przy pomocy telefonu i kieszonkowego kalkulatora...

* * *

Około 40 proc. powierzchni Christianii zajmują tereny uprawne, bądź nadające się pod uprawę; jednak rolnictwo w naszym pojęciu stanowi gospodarkę. Przeważa tu działalność raczej marginesowy wycinek lokalnej plantatorskiej typu ogrodniczego. Na prowadzonych systemem gospodarstwa rodzinnego lub stałych 6-7-osobowych wspólnot plantacji rosą przede wszystkim warzywa (ważny element samowystarczalności mieszkańców) oraz różnego rodzaju ziola lecznicze, z których część idzie na sprzedaż, zaś reszta zasila miejscowy Dom Zdrowia. Placówka ta specjalizuje się w leczeniu sposobami tradycyjnymi — akupunkturą, kąpielami leczniczymi z sauną, masażem leczniczym (nie wyłączając spod tezę i kinetoterapię oraz właśnie ziołową pojęcia również konopi indyjskich). Ponieważ zboża w zasadzie w zakresie christiańskiej produkcji rolnej nie wchodzi — znana z wysoko jakościowego pieczywa *Słoneczna Piekarnia* zaopatruje się w mąkę i inne niezbędne surowce poza Christianią. W każdej niedzielę odbywa się narada wspólnoty *Sunshine Bakery*, podczas której sporządzony zostaje kosztorys maki, ziarna, orzechów, sezamowych, itp. ingrediencji, które trzeba zakupić w mieście na cały tydzień. Dzienna produkcja piekarni wynosi średnio około 200 bochenków chleba, 150 bułek i kilkadziesiąt bagietek. Wyroby te sprzedają następnie christiańskie sklepy z 10-procentową marżą. Jedna połowa czystego przychodu piekarni rozdzielona zostaje pomiędzy jej pracowników, druga — zasila pulę, z której m. in. dokonuje się owych cotygodniowych zakupów. Średni zarobek piekarski wynosi około 300 koron na dobę. Jeżeli wziąć pod uwagę, iż koszt utrzymania jednej osoby na Christianii nie przekracza 400 koron tygodniowo, to jest to na tutejsze warunki bardzo wysoka płaca, sprawiedliwie zresztą należące się za całonocny, nierzadko prawie całodobowy czas pracy. Nic dziwnego, iż mistrzowie chleba stanowią najbardziej chyba elitarny klan pośród christiańskiej społeczności.

* * *

Plantacje, przemysł, rolnictwo, gwardia pożarniczo-porządkowa, służba informacyjna wyposażona we własne studio filmowe, przedszkole — cóż nam to przypomina? Nie trzeba być socjologiem, by raczej przyznać coraz powszechniej panującym opiniom, iż Christiania przedstawia po prostu miniaturowy model społeczeństwa całej Danii, złożonego z takich samych jak ona ugrupowań etniczno-socjalnych i borykających się na co dzień z takimi samymi trudnościami.

Czy da im radę przez następne dziesięciolecie?

Jeżeli sprawdzić się słowa *Thorikilda* — *Największą nadzieją w tym, aby niektóre osoby stały z zewnątrz potrafiły szczerze i bezinteresownie współpracować, myśl, że wcześniej lub później to przyjdzie samo — odpowiesz będzie twierdząca.*

odgłosy

REDAGUJE KOLEGIUM: Jerzy Wawrzak (redaktor naczelny), Jerzy Katarasłowski (z-ca redaktora naczelnego), Grażyna Szybowska (sekretarz redakcji), Konrad Freidlich oraz ZESPÓŁ: Ryszard Binkowski, Tadeusz Błażejowski, Małgorzata Golecka, Jacek Jodłak, Eugeniusz Iwanicki (z-ca sekretarza redakcji), Ryszard Łuczyński (fotoreporter), Bogdan Madej, Andrzej Makowiecki, Marek Miller, Jerzy Rzymowski, Tomasz Soldenhoff

KONSULTACJA GRAFICZNA: Janusz Szymański-Głoga NADZÓR TECHNICZNY I KOREKTA: Krystyna Sardecka, Maria Grabska

„Kamienie na szaniec” to bardzo znana książka Aleksandra Kamińskiego, napisana podczas ostatniej wojny i poświęcona harcerzom — najmłodszemu bohaterowi walki z okupantem. Trudno dociec, czy autor tej książki wiedział, że zaledwie parę lat wcześniej, w roku 1937, ukazała się pod identycznym tytułem inna pozycja, inne „Kamienie na szaniec”. Napisał ją Karol Kuźmiński, a poświęcił młodzień- kim bohaterom walk legiono- wych. Jeden z jej dwunastu rozdziałów poświęcony był puł- kownikowi Lisowi-Kuli, przy- pomnianemu niedawno przez „Przekrój”.

W listopadzie 1914 roku wstąpił się w bitwie pod Krzywopłotami brawurowym atakiem na wioskę Zależe — pisze „Przekrój” (z 15.XI.br.) o dziewiętnastoletnim kapita- nie Lisie, nie wspominając zresztą, że w tym ataku dowo- dził samymi chłopcami z Ba- lut, Widzowa i reszty Łodzi, których przedtem tu zwerbowa- ł i zorganizował w łódzki batalion.

Nie o przyczynę historyczną chodzi mi jednak w tym felie- tonie. Chodzi o ciekawą zja- wisko powtarzania się identy- cznych tytułów w dziejach li- teratury, z czego nawet można by sobie zrobić niezłą zabawę. Powtarzają się tytuły, a także nazwiska sławnych mężów — i to w okolicznościach nie- zwykłych. Czy ktoś z Was wie,

że Jan Sobieski to polski puł- kownik w służbie amerykań- skiej, tajny agent prezydenta Lincolna, dowódca oddziału, który rozstrzelał cesarza Mak- symiliana w Meksyku? Czy wiecie, że Szopen (Schopen) — co prawda Edmund, nie Fryde-

JAN SOBIESKI W MEKSYKU

ryk — to pisarz i publicysta niemiecki, którego książkę wy- dano także w Polsce, w 1938 roku pt. „Morze Śródziemne arena dziejowych rozstrzy- gnięć”?

Wracając do tytułów: „Bie- sy” napisał oczywiście Dosto- jewski. Ale dramat „Biesy” napisał także Ferdynand Anto- ni Ossendowski, a żeby było śmieszniej napisał także „Huragan”, chociaż pod tym samym tytułem wydał znaną powieść Waław Gąsiorowski. „Wesele” — to oczywiście Stanisław Wyspiań- ski. Ale oto Teatr im. Jaracza w Łodzi wystawił niedawno sztu- ke tegorocznego laureata lite- rackiej Nagrody Nobla, Elasa Canettiego — „Wesele”.

Jako chłopcy zaczytywaliśmy się niegdyś — a dziś czynią to nasi synowie i wnuki — a- wanturniczą powieścią z Dzi- kiego Zachodu, Mayne Reida — „Jeźdźcem bez głowy”. Tłu- maczył ją na język polski Zygmunt Glinka. Ale tłuma-

czył także... Jarosław Iwasz- kiewicz! Nie znalazłem tej po- zycji w różnych Iwaszkiewi- czowskich bibliografiach, jakie wpadły mi w ręce. Ale w ty- godniku „Światowid” w I pół- roczu 1928 roku szedł „Jeźdźca bez głowy” w odcinku, przy-

czym autora oryginału nie po- dawano w ogóle, a Iwaszkiewi- czowi figurował po prostu jako autor. Fabuła była identyczna, tyle że do malowniczych po- staci uganających po amery- kańskich puszcach dopisał nasz autor Polaka z Ukrainy, zabił go w tamten świat w wyniku jakiejś romantyczno- patriotycznej przygody. Rzecz ta wyszła drukiem w 1928 ro- ku, ale wydania tego nie wi- działam.

Nazwisko Agnieszki Osieck- iej znany z wielu pięknych piosenek, wierszy, utworów scenicznych. Pani Agnieszka Osiecka — inna, oczywiście — pisała też nowele i powieści w latach trzydziestych. W „Mar- chołcie” nr 1 z 1934 roku dru- kowano jej „Klucz niebieski” — melodramatyczne opowia- danie o malarzu, który oślepił na wojnie, i o dziewczynie, nieszczęśliwej z zamiłowania.

Szanując wszelkie proporcje (toutes les proportions gardées) wspomnę przy okazji o sobie;

w roku 1946 wyszedł w ów- cześnie amerykańskiej strefie okupowanej Niemiec mój zbio- rek liryków pt. „Godziny, któ- rych nie było”. A teraz „Prze- krój” (z 6 września br.) dru-kuje opowiadanie emigracyjne- go pisarza i poety, Stanisława Balińskiego, pt. „Godzina, któ- rej nie było”. Tylko liczba z mnogiej stała się pojedynczą. Oczywiście nie jest to żadne naśladowictwo, tylko dowód na to, że niektóre słowa, poję- cia, zwroty, symbole i nazwy, tytuły i myśli krąży nad głowami ludzi i napraszają się pod pióro.

Nawet mój pseudonim, wy- myślony (tak mi się zdawało) w 1964 roku, miał już jak się okazuje, swego wcześniejszego nosiciela: był taki (jak podaje Jan Józef Lipski w swej an- tologii felietonów z 1973 roku pt. „Warszawscy Pustelnicy i Bywalscy”) (dziennikarz w międzywojennej prasie czerwo- nej, Stanisław Cwierzakiewicz, który swoje felietony sa- dowo („Kartki sądowe”) podpi- sywał: Cwiek.

A może w ogóle „wszystko już było”? I tylko coraz nowe typy wchodzą w te same szab- lony, wycięte dawno lub bar- dzo dawno temu? I wciąż no- we pokolenia „na śmierć idą po kolei, jak kamienie, przez Boga rzucane na szaniec...”

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI (Cwiek)



Rys. ANDRZEJ GRUN

SPORT

Każdy z nas ponosi jakąś odpowiedzialność. Jeśli umówimy się, że współczesne społeczeń- stwo jest wielką maszyną, składającą się z ty- sięcy drobnych kółek, a każdy z nas jakieś kół- ko obsługuje, to każdy z obsługujących te kół- ka odpowiada w jakiejś części za funkcjonowa- nie całości. Zacierając się i wadliwie działa- jące kółka w jednym miejscu, pociągna za so- bą wadliwe działanie podobnych kółek w in- nym miejscu. To uproszczone widzenie współ- zależności we współczesnym społeczeństwie jest mi potrzebne dla zobrazowania prawdy o tym, że każdy powinien znać swoje miejsce w spo- łeczności i należyście wypełniać swoje zada- nia. Oraz rozumieć swoją odpowiedzialność.

A oto — jakże typowy przykład. Pozornie niby od rzeczy. Bo cóż wspólnego ze sprawnie działającym społeczeństwem może mieć fakt przegranej w Foggii wstępnych eliminacji przez Roberta Felisiaka, szermierza z Wrocławia. Nic. Ale powtarzam: — tylko z pozoru. Robert Feli- siak przegrał bowiem do Fuggi na dwie go- dziny przed rozpoczęciem eliminacji, po kilku nie przespanych nocach. A nie przespał tych no- cy nie dlatego, że bawił się siodłem nocnym ży- ciem Italii, ale dlatego że jego miejsce w samo- locie na Okęciu zajął wiceprezes PZ Szermier- czego — inż. Tadeusz Fukała.

Robert Felisiak nie mógł udać się z ekipą do Włoch, bo czegoś mu brakowało w paszpor- cie. Wrócił do Wrocławia, uzupełnił, co trzeba i miał lecieć następnego dnia właśnie z wice- prezesem PZSz, — inż. Tadeuszem Fukałą. Tuż

przed samą barierką, obsługa lotnictwa powia- domiła obu panów, że mimo wcześniejszych zapewnień, miejsce jest tylko jedno i trzeba zdecydować, który z panów poleci. Ważny mo- ment decyzji. Czyja obecność w Italii jest bar- dziej potrzebna? Kto może się spóźnić o jeden dzień? Robert Felisiak — zawodnik AZS Wro- cław — jechał na zawody szermiercze. Wice- prezes inż. Tadeusz Fukała — na posiedzenie komisji sprzętu i sygnalizacji. FIE.

NIEZAWINIONA PORAZKA

Myślę, że Czytelnik dokonał już wyboru i wcale nie zdziwi go fakt, że samolotem do Włoch poleciał... inż. Tadeusz Fukała, wicepre- zes PZSz. A Robert Felisiak wrócił do Wrocław- ia. Działacze wiedzą, że gdyby nie było za- wodników, to nie mieliby powodu do działania a zawodnicy wiedzą, że gdyby nie było działac- zy, to by nie miało kto im organizować za- wodów, starać się o sprzęt, dotacje i wszystko inne. Nie chodzi już o to, czy działacze robią to dobrze, czy nie, chodzi o to, że są i być powinni. A skoro są, to konferencja zawsze jest ważniejsza niż zawody. Zawody można przegrać lub wygrać — sprawa to zawodni-

ków, nieobecność na konferencji może mieć ko- losalne skutki. Wszak przywykliśmy, że bez konferencji żadna dziedzina życia nie może na- leżycie funkcjonować.

Jacek Żemantowski w „Sportowcu” w nr 47 z 25 listopada 1981 roku opisał dokładnie, co się działo z Robertem Felisiakiem, po jego powro- cie do Wrocławia. Pracownicy PZSz uznali jed- nak, że zawodnik jest też ważny, a kto wie, czy nie ważniejszy. Ściągnęli w nocy Roberta

Felisiaka do Warszawy fundując mu taksówkę na tej wcale niemałej trasie. Załatwili mu bi- let na samolot do Mediolanu, skąd do Fuggi jest więcej niż tysiąc kilometrów, ale zawsze to już Włochy i sporo bliżej tam niż z War- szawy. Robert Felisiak pojechał więc pociągiem z Mediolanu do Rzymu, tam się przesiadł na następny i dotarł tuż przed rozpoczęciem walk do Foggii. Proszę odbyć taką podróż z Wro- cławia, przez Warszawę, Mediolan, Rzym do Fog- gi i stanąć do walki. A później jeszcze tłuma- czyć się z przegranej. Nie zdziwiła się tylko Rada Zawodnicza PZSz, tylko dokładnie sprawę zbadała i uznała, że na Okęciu powinien był

z miejsca w samolocie zrezygnować jednak inż. Tadeusz Fukała.

W społecznej maszynie są kółka duże i ma- łe, ale wszystkie są jednakowo ważne. Jeśli kie- dykolwiek dużym kółkom może się wydawać, że będą się właściwie poruszały bez pracy ma- łych kółek, to są w wielkim błędzie. Taki błąd popełnił — jak to wynika z relacji Jacka Że- mantowskiego w „Sportowcu” — inż. Tadeusz Fukała. Doszedł do wniosku, że jego obecność na konferencji jest ważniejsza niż obecność Roberta Felisiaka na zawodach. Ukarana Rada Zawodnicza PZSz. domaga się ukarania inż. Tadeusza Fukały.

Nie jest to sprawa odosobniona. Wiele kry- tycznych uwag padało ostatnio pod adresem działaczy i nie dlatego, że teraz taka moda, ale dlatego, że nadmierna miłość do służbowych wyjazdów zagranicznych owocuje — jak to również podkreśla Jacek Żemantowski w „Spor- towcu” — różnymi dobruami. Pisze on, iż za- wodnicy wiedzą, kto i jakim kosztem pobu- dowali wille, kto ma udział w motelu, kto... Te- raz zaczynają o tym mówić. I sądzą, że dział- acze powinni wyciągnąć z tego wnioski. Klub- hom sportowym potrzebni są ofiarni, skromni, dbający o zawodników i kluby działacze. Nie- potrzebni są natomiast tacy, którzy działają w sporcie ale z osobistych, egoistycznych, mate- rialnych pobudek.

BOGDA MADEJ

TELEWIZJA

Ostatnie dni upływały w wyraźniej za- kłóconym rytmie nastrojów, przewidy- wań i planów na przyszłość. Żyjemy w takim rytmie — albo raczej społecznej arytmii — od wielu miesięcy zatem win- niśmy być uodpornieni, tym bardziej że po każdym wahnięciu w lewo lub w pra- wo wektor historii znów się stabilizował.

Zbliża się koniec roku, a więc pora w której to co było, chce się już zamknąć w nawiasach czasu przeszłego, aby roz- ważyć z pełną nadzieją i bez obciążenia to co będzie. Posierpnia rewolucja spowo- dowała, że losy osobiste każdego z nas przesunęły się jakby na drugi plan: nau- czyliśmy się myśleć w kategoriach spo- łecznych i ogólnonarodowych. A nigdy dotąd w naszej powojennej rzeczywistości koniec roku nie rysował się tak jedno- znacznie źle. Mimo licznych zdradzeń, protestów i bojów na oświadczenia wy- dawało się, że hasło „Porozumienie — szansa narodu” stanie się w niedługim czasie faktem.

Gdybym pisał ten tekst nie w ponie- dzialek 7 grudnia rano, ale kilkanaście godzin wcześniej, z całą pewnością roz- ważałbym wartości ostatniego spektaklu Teatru TV, emocjonowałbym się — nie bez żółci — ostatnim meczem Widzewa, w którym Zbigniew Boniek „zaprzepścił” szansę awansu do półfinału. Lub czymś w tym rodzaju. Jednak właśnie dzisiaj, w poniedziałek, za najważniejszą audycję TvP minionego tygodnia muszę uznać wiadomości Dziennika, odczytane na ko- niec niedzielnej edycji „Studia 2”, z cy- tatami z obrad rozszerzonego Prezydium Komisji Krajowej. NSZZ „Solidarność”. Dzisiaj, w poniedziałek, wiadomości te, potwierdzone w gazetach i w radiu, stały się dramatycznym tematem dnia.

A jeszcze w sobotę 5 grudnia, gdy oglą- dałem w programie I zapis panelowej dyskusji na temat projektu reformy gos- podarczej, dyskusji, w której uczestniczyli przedstawiciele rządu, prof. Zdzisław Sa- dowski, Stanisław Nieckarz, Cezary Sty- pułkowski i Erwin Pilchowski oraz „So-

lidarności” — Jacek Merkel, doc. Jerzy Eysmont i Hans Szye, nie nie wskazywa- ło, że wartość owej wymiany poglądów jest już bez znaczenia. Oceniam to tak, ponieważ w ogólnym rozrachunku obaw i nadziei — a zwłaszcza w kontekście obu oświadczeń „Solidarności” i rządu oraz w świetle przebiegu dyskusji podczas obrad radomskiego Prezydium — sprawa reformy gospodarczej, nawet dla laika sprawa ogromnej wagi, stała się mało istotnym epizodem w konfrontacyjnej hi- erarchii. Mimo to jednak prezentacja tej

W TONACJI DUROWEJ

dyskusji, w której znów po wielu tygod- niach wzięły udział obie strony, była dla tych, co potrafili na moment przerwać barbońkowe toasty, ważkim poznawczym doświadczeniem. O reformie mówi się od wielu dobrych miesięcy, na łamach prasy toczą się spory o kształt tej reformy, jej kolejne etapy, o sposoby jej wprowadza- nia. W powszechnej świadomości owa od- miana systemu ekonomicznego w Polsce to przede wszystkim wzrost cen: właśnie wokół tego elementu reformy skupia się społeczne zainteresowanie. Groźba „re- gulacji cen” negatywnie determinuje obec- ną sytuację na rynku.

Telewizja często do pytania „Co z re- formą?” wracała. Sądzę jednakowoż, że dopiero sobotnia audycja (szkoda, że nie

zapowiedziana wcześniej, szkoda także, że jej znaczna część nałożyła się na wyświe- tlaną w dwójce horror o „Smakaczach”), w której układem odniesień dla rządu był polemiczny ton reprezentantów „Solidar- ności”, mogła być wiarygodna dla wielu uczulonych na tym punkcie widzów. Po- mijam już względy poznawcze — a było ich dużo — chcąc zwrócić uwagę na spo- sób argumentacji obu stron polemiki: ra- cje profesora Sadowskiego nakierowane były na przyszłość, tę bliższą roku 1982 i tę dalszą, wynikały z ekonomicznych konieczności; krytyczne emocje Jacka Merkela i docenta Eysmonta konstruo- wały się w oparciu o doświadczenia, któ- re niesie z sobą przeszłość. Dla rządu re- forma jest priorytetem chwili, dla „Soli- darności” nie do końca zarysowaną wiz- ją, obciążoną całym pakietem postula- tów odległych od ekonomicznych mecha- nizmów.

Gospodarczej przyszłości, jej ściśle fi- nansowych kontekstów dotycząca pozapla- nowa audycja „Listów o gospodarce” z udziałem ministra Mariana Krzaka, który w telewizyjnej inwazji informacyjnej mi- nisterstwa wysuwa się zdecydowanie na pierwsze miejsce. Sądzę właśnie, że tego rodzaju spotkania mają większy pożytek dla rozbudzonej po Sierpniu potrzebie wiedzy o stanie naszego państwa, niż spektakularna może, ale narby ludzka w swoim charakterze wizyta profesora Krasieńskiego — „ministra od cen” — u sa- nockiego ślusarza. Wprawdzie sam Walery Giscard d'Estaing przyjmował w Pałacu Elizejskim na wielkanocnym posiłku pra- cowników paryskiego MPO i jeździł z wi- zytami do „szarego obywatela” ale uważa- że trzeba za przykład filantropijnej de- mokratki o walorze li-tylko propagand- wym. U nas wszakże „demokracja nie jest gestem władzy wobec społeczeństwa” a zatem dajmy pokój takim akcjom.

GRZEGORZ GAZDA

1/6
mini
magazyn

HASŁO NUMERU: **Gdy ci nie do śmiechu, śmieć się tym bardziej.**

JAK W „KABARECIKU”

W ubiegłą niedzielę ok. godz. 20.10 minister Krzak stwier- dził w I programie TV, że w przyszłym roku będziemy mieli ceny wynikające z popytu i podaży, równowagę ry- kową i mocną złotówkę.

Historyczne to oświadczenie wydane zostało w związku z pytaniem podającym w wątpliwość zasadności sprzedaży za dewizy zachodnie samochodów wschodnich. — W przy- szłym roku — stwierdził minister Krzak — będzie nam wszystko jedno, czy samochód będziemy kupować za zło- tówki, czy za waluty obce.

Nie była to część „Kabareciu” Olgii Lipińskiej, lecz audy- cja poważna. Jak się jednak okazuje, i audycje poważne dostarczają nam wiele radości, której w życiu tak brakuje.

BIEDA U MINISTRA

Tego samego dnia, w tymże I programie TV, tenże mi- nister zdał sprawozdanie z dochodów swojej rodziny. Stwierdził m. in., że wraz z żoną lekarką zarabia łącznie ok. 30 tys. zł miesięcznie, przy czym On zarabia 23 tys. zł. Utrzymuje się za te pieniądze rodzina w składzie: — mąż, żona, babcia i dwoje dzieci — w tym jedno mające własną już rodzinę.

Wyszło, że dochód na członka rodziny wynosi ok. 5 tys. złotych.

Jeśli okaże się, że minister Krzak nie prowadzi podwój- nej buhalterii i nie ma zaskórniaków, do których nie chce się przyznać żonie, gotowi będziemy ufundować zapomogę. Byłby to bowiem skandal, gdyby rodzina ministra finansów żyła na tak niskiej stopie.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Ogłosy” al. A Mickiewicza 11, kod 90-438 Łódź. Telefon: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicysta 677-70. Redakcja nie samó- wionych rekwizytów nie zwraza zastrzeżenia sobie również prawo do skrócenia Infor- macje o warunkach prenumeraty udziela oddziały RSW „Prasa Książka Ruch” i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 364 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa Książka Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP. XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139 prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zakładów instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa Książka Ruch” Łódź ksc. Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 2674 K-2.

